

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Bibi. Jag.

Wychodzi co tydzień

Dnia 31-go stycznia 1942r.

Rok IV. Nr. 5

JEDNOŚĆ DZIAŁANIA

Jedność działania jest jedną z naczelných zasad prowadzenia wojny. Można uznać za prawdę niewatpliwą, że nie ma zwycięstwa bez zespolenia w walce wszystkich sił, kierowanych jednolicie, prowadzonych jedną myślą i jedną wolą.

Zasada ta, wypowiedziana lub niewypowiedziana, istniała w świadomości ludzkiej, odkąd historia zaczęła notować wydarzenia wojenne. Narzucała się zwłaszcza, ilekroć walka toczyła się nie o jakąś posiadłość czy jakiś obszar, ale o sam byt państwa i narodu. Narzucała się zawsze, jako postulat jedności dowództwa wojakowego. W najcięższych potrzebach występowała jako postulat dalekiej idący: jedności władzy rządowej i wojskowej na czas niebezpieczeństwa.

Tak republika rzymska, zazdrośnie strzegąca wolności przed przewagą jednostki, upierająca się przy wybieralności i ciągłej zmienności władz rządowych, w chwilach zagrożenia nie poprzestawała na tym czynniku ciągłości pracy państwowej i autorytetu, jakim był senat, ani na ograniczonej, dwugłowej władzy konsulów, ale wprowadzała na określony czas dyktaturę, łącząc pełnię władzy rządowej i wojskowej w ręku wodza.

Tak Rzeczpospolita polska w dobie krwawego potopu, skonfederowana w Tysowcach przy królu, oddawała mu pełnię władzy dla ratowania ojczyzny.

Tak u kolebki wielkiej demokracji amerykańskiej pierwszy jej wódz i bohater, Washington, złączył w swym ręku ster rządu i dowództwo naczelne.

Tak umiłowany nasz Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej, Tadeusz Kościuszko, porwijac ginącą Rzeczpospolitą do ostatniej walki na śmierć i życie, na czas walki wziął w swoje ręce władzę cywilną i wojskową.

Gorzko wyrzucano Czarotoryskiemu, że się na to w roku 1830 nie zdobył. Od dyktatury zaczynało powstanie 1863 roku i kończyło jasniejszą na zawsze heroizmem i męczeństwem dyktaturą Trautgutta.

Słowo dyktatura jest dziś splugawione. Z instytucji, stwarzanej doraźnie, by służyć ocaleniu ojczyzny lub jej wyzwoleniu, wyrażał się niejedenkrotnie w dziejach podbój własnego narodu przez władczą jednostkę. Dyktatorami wojny domowej stali się Mariusz i Sulla, dyktatura stała się wśród wewnętrznych rozgrywek ich instrumentem, instytucja nie wojenna już, ale polityczna, aż wreszcie dyktaturę swoją narzucił Cezar rzymskiemu imperium. Ale to przeszłość odległa. Nie przeciwstawiła się ona ani Washingtonowi ani Kościuszkowi, wyższym moralnie ponad podejrzenia o chęć ujarznienia własnego narodu.

Ostatnie dopiero dziesięciolecie przyniosły przerażające fakty podboju w czasie pokoju, bez ekskuzji zewnętrznego zagrożenia, całych wielkich narodów przez jednostki, opierające się na bandach uzbrojonych opryszków, całkowitego fizycznego i duchowego ujarznienia tych narodów i powleczenia ich na drogi zbrodnicze. Nie potrzeba podkreślać, że nie o takiej dyktaturze myślał Kościuszko, inspirując pamiętną broszurę: "Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość".

Jeśli jednak ktoś powiada, że połączenie w czasie wojny władzy

szefa rządu i naczelnego wodza w jednym ręku jest dyktaturą, odpowiemy: dyktaturą w dużo wyższym stopniu była władza ludzi takich, jak Washington, jak Kościuszko, jak Trautgutt. Ludzi, którzy skupiając w ręku sumę władzy, niezbędnej do zapewnienia jedności działania w śmiertelnej walce, ani na chwilę nie przestali być sługami swego narodu, chyląc czoła przed nim, świadomi swojej przed nim odpowiedzialności, czuli na każdy przejaw jego woli, zdecydowani zdać mu sprawę po skończonej walce, a władzę u stóp jego złożyć.

Jeśli ktoś powiada, że połączenie władzy cywilnej i wojskowej jest niezgodne z zasadami demokracji, wystarczy przypomnieć mu tamte wielkie imiona bohaterów demokracji, jej świętych.

Jak wspomniano, zagadnienie jedności działania w czasie wojny występowało w przeszłości stale jako zagadnienie jedności dowództwa. Wiemy, jak niezmierną przewagę dała Francji niepodzielna władza wojskowa Bonapartego nad koalicjami, pozbawionymi jednolitego dowództwa, nad armiami jednego nawet przeciwnika, jak austriackie, kierowane przez ocalałą, wielogłową Najwyższą Radę Wojenną i jak ta przewaga osłabła od razu, gdy ci sami Austriacy zdobyli się na jednolite dowództwo arcyksięcia Karola, jak wystąpiła znowu w ostatnich wojnach koalicyjnych, gdzie przeciwnika, mimo jego przemocy liczebnej, stale ubezwładniała wielogłowość źle sprzężonego kierownictwa. Wiemy, jaką w wojnie światowej przewagę dawało państwu centralnym niemieckie Naczelne Dowództwo, nadrzędne w stosunku do sojuszników, nad pozbawioną wspólnego dowództwa naczelnego koalicją i jak w ostatniej potrzebie doszło do powołania Focha jako koordynatora, a później wodza naczelnego sprzymierzonych sił zbrojnych.

To jest jedna strona zagadnienia. Ale jest druga, występująca szczególnie silnie dzisiaj, w dobie totalnej wojny.

Słaby by nie widział kolosalnej przewagi, jaką uzyskały nad wszystkimi innymi państwami mocarstwa dyktatorskie przez jedność kierownictwa w okresie przedwojennym, absolutną centralizację władzy w czasie wojny. Wojna obecna, prowadzona wszystkimi zasobami narodu, całą jego żywą siłą, wprzęgająca w swą służbę cały ogół, prowadzona na

lądzie, morzu, w powietrzu, w fabrykach, warsztatach, na roli, uzależniona od samoobrony cywilnej, od produkcji sprzętu, żywności, odzieży, dowozu materiału i surowców, toczy się w warunkach zupełnie odmiennych, aniżeli w czasach, gdy wojsko było organem specjalnym, częścią sił narodowych, wyspecjalizowaną jako narzędzie wojny, główna zaś masa narodu miała za główne zadanie—poza zasilaniem swej siły zbrojnej—jedno tylko: przetrwać. Wtedy mógł rząd zdać w ręce wodzów prowadzenie wojny, troszcząc się tylko o odnawianie zasobów ludzkich i materialnych, co rzadko wymagało nadzwyczajnych wysiłków.

Dzisiaj wojna jest integralną i integralne musi być kierownictwo wojny. Funkcje rządzenia i funkcje dowodzenia na najwyższych szczeblach zbiegły się tak, że już niepodobna ich oddzielić.

Już w czasie wojny światowej nie wystarczało Niemcom, że cesarz—*Oberster Kriegsherr*—rozkazywał formalnie zarówno zakamuflowanemu pod nazwą "szefa sztabu generalnego" naczelnemu wodzowi jak "cywilnemu kanclerzowi". Do zapewnienia jedności działania trzeba było rozprawy wewnętrznej między "cywilnym kanclerzem" a naczelnym dowództwem, które wzięło górę do czasu.

We Francji tarcia między dowództwem wojskowym a zmieniającym się rządem i interwencje parlamentu doprowadziły do groźnego kryzysu 1917 roku, poczem—za rządu Clémenceau—sedziwy ten trybun jakobińskiej demokracji podporządkował sobie kierownictwo wojskowe i zapewnił konieczną jedność działania. Bez tego tytułu, on był faktycznym wodzem naczelnym francuskich sił zbrojnych w ostatnim roku wojny i nie na żarty przeważało go "*Père la Victoire*"—Ojcem Zwycięstwa.

Nie miała Francja takiego "*Père la Victoire*" w feralnym roku 1939-40. Demokracje zachodnie wchodziły w wojnę z władzą rządową słabą, w ręku ludzi kompromisu, obciążonych fatalnymi ustępstwami i niesławnymi kapitulacjami, niesionych przez podmuchy zmiennych nastrojów parlamentarnych, z źle skoordynowaną władzą nad siłami zbrojnymi, tylko przez rady gabinetowe związaną z ogólnym kierownictwem wysiłku narodowego. Z tym Francja poszła w przepaść. Wielką Brytanię ocalała potężna wola Churchilla.

Zrządzeniem Opatrzności zna-

lazł się taki człowiek, łączący długie doświadczenie działacza politycznego i meża stanu z doświadczeniem bohatera żołnierza kilku wojen, gruntowną znajomość praktyczną wszystkich spraw Imperium z takąż znajomością praktyczną wszystkich spraw tamtej Wielkiej Wojny na lądzie i morzu. Szef rządu dojrzał, by dowodzić naczelnie, o geniuszu i charakterze wodza. Żołnierz dojrzał, by jako mąż stanu kierować losami Imperium i decydować o sprawach zasięgu światowego.

Winston Churchill jest dzisiaj nie mianowanym, ale czynnym w całej pełni wodzem naczelnym Imperium. W jego ręku spoczywa jedność działania Rządu J.K.M.-ci i wszystkich królewskich sił zbrojnych, pozbawionych wspólnego, nadrzędnego dowództwa. Ma odpowiedzialność i władzę ogromną. Nie ujmuje to ani majestatu Króla ani władzy Parlamentu; Premier jest ich sługą, sługą swego wielkiego narodu.

Nie przeraziła się wielka demokracja brytyjska takiej ogromnej władzy skupionej w ręku tego potężnego człowieka. Naród zrozumiał, że w imię jedności działania musi skupić się przy tym, który wziął na siebie odpowiedzialność za jego ocalenie. Imię Churchilla stało się ponad dyskusjami politycznymi. Nikt nie myśli o tym, by go wywrócić albo mu część władzy odebrać. Opozycji nie ma. Krytyka prasowa czy parlamentarna, nieraz wśród niepowodzeń ostro i wypowiadająca bez ogródek to, co uważa za prawdę, starannie omija premiera, zwracając się—słusznie, czy nie słusznie—przeciw tym jego współpracownikom, którzy nie są na poziomie jego energii i jego geniuszu. Brytyjczycy rozumieją, że zaufanie i cierpliwość są nieodzownym warunkiem zwycięstwa i że rozgrywki wewnętrzne w żadnym wypadku do zwycięstwa nie pomogą. Przemijają kryzysy w opinii publicznej, związane z kryzysami wojny. Z każdego kryzysu potężniejszą wychodzi postać wodza brytyjskiego Imperium.

Ameryka weszła w wojnę z zapewnioną konstytucyjnie jednością działania przez jej ustrój prezydencki, w którym Prezydent jest zarazem wodzem naczelnym, przyczem osobistość Roosevelta jest rekojmią rzeczywistego skupienia władzy w jego ręku. Połączenia władzy rządowej z wojskową nie obawia się największa demokracja świata.

W Polsce walczącej po katastrofie wrześniowej stanął u steru, za-

pewniając jedność działania, człowiek o ogromnym doświadczeniu politycznym—były minister i premier z okresu rządów parlamentarnych—i wielki żołnierz, jedyny z wodzów obecnej wojny, który poprzednio dowodził zwycięską armią na polach bitew. Dawno, kilkanaście lat temu, Sikorski jako mąż stanu widział zarysowującą się grozę obecnej wojny, wiedział, skąd grozi niebezpieczeństwo i jak; jak Churchill Wielką Brytanię, tak on Polskę latami całymi budził i ostrzegał, jak on nie doś słuchany i rozumiany.

Sikorski jako szef Sztabu Generalnego zbudował po tamtej wojnie nasze siły zbrojne lądowe tak, że budowa, mało zmieniona, dotrwała do wojny obecnej; jako minister przygotował ich rozbudowę do stanu nieporównanie wyższego, aniżeli osiągnięty w roku 1939. On dał początek budowie naszej floty wojennej i portu wojennego. On nadał potężny impuls rozwojowy naszemu lotnictwu, silniejszemu o wiele w roku 1925 aniżeli w roku 1939.

Churchill był pierwszym w wojnie światowej z ludzi kierowniczych, który decenił przyszłość czołga. Sikorski przewidywał wówczas i zapowiedział rolę czołga i motoru w wojnie obecnej. Gdy przyszła godzina najcięższej próby, Churchill, wbrew wszelkiej rachubie sił, nie zwątpił w zwycięstwo i swą wolę zwycięstwa narzucił swemu wspaniałemu narodowi. Sikorski wśród najcięższych ciosów nigdy nie utracił wiary w zwycięstwo, dzieląc ją z cierpiącym i walczącym, niezłomnym naszym narodem. Churchill jest "sługą Króla i Parlamentu". Sikorski był zawsze i jest sługą narodu polskiego, posłusznym jego prawom i jego woli.

Jest to okolicznością niewypowiedzianą pomyślną, że tak właśnie rozwiązano przy zachowaniu ciągłości prawnej i poszanowaniu litery obowiązującego prawa zagadnienie kierownictwa wojennego po naszej stronie w toczącej się walce o wyzwolenie i istnienie narodu. Są wśród nas politycy, którzy przez długie lata walczyli przeciw ideom i instytucjom demokratycznym, a dziś martwią się, że taki stan rzeczy nie godzi się z demokracją. Są inni, starzy zwolennicy ustroju parlamentarnego, którzy upierają się, że teraz, właśnie w toku walki na śmierć i na życie, władza cywilna winna być rozdzielona od wojskowej.

Jednym i drugim można by powiedzieć, że ocalenie ojczyzny jest najwyższym prawem, ale i to zbędne, gdy obecny stan rzeczy jest z obowiązującym prawem w zgodzie. Pozostaje jednym i drugim poradzić: niech zajmą się raczej kumulacją władzy przez Washingtona i Kościuszkę, odwracając się od groźnej teraźniejszości, w której pierwszym przykazaniem musi być: nie przeszkadzać.

Jeśli wspominamy o tym, czynimy to jedynie dlatego, że literatura polityczna londyńskiej emigracji traktująca te zagadnienia, bywa i w wojsku czytana i może siać niepokój w umysłach żołnierzy. I dlatego chcemy stwierdzić, że nasze żołnierskie sumienie jest spokojne. Że pragniemy jednoci działania u steru, a jednoci, solidarności i dyscypliny wszędzie: w wojsku i w wszystkich siłach zbrojnych i w całym narodzie polskim, który stanowi Polskę Walczącą.

NA ODCINKU

Adamowi Bogorzy—Zakrzewskiemu

Za jasnią szeroką, za morzem głębokim—
tam Polska.

Gdzie Polska?

Zakryta obłokiem.

Nie dojrzyysz, choć tęsknisz, choć
słyszysz, że woła...

Kierunek—od serca. Dłoń przyłóż do czoła.

Błękitni się morze zmarszczoną oponą.

Na brzegu dalekim cię z konia zsadzono.

Zwój drutów.

Pozycje.

Pikieta wzdłuż plaży.

Ty z bronią—na warcie. A serce—na straży.

Rybitwo strzelista, żeglarko podniebna,

za tobą mnie wabi przestrzenią dal srebrna!...

Nie zejdziesz z pozycji. Swej warty nie rzucisz.

Wyteśkniesz. Doczekasz.

Zwycięzysz. Powrócisz.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

MARIAN KUKIEL

WYSPY FILIPIŃSKIE



Archipelag filipiński dopiero od niedawna, zaledwie od czterdziestu lat należy do Stanów Zjednoczonych. Poprzednio był on częścią wielkiego imperium hiszpańskiego, tego imperium, w którym słonce nigdy nie zachodziło. Hiszpania musiała odstąpić wyspy filipińskie dopiero po nieszcześliwej wojnie hiszpańsko-amerykańskiej, w roku 1898.

Wojna ta, jak wiadomo, nie toczyła się o Filipiny, ale o wyzwolenie Kuby z pod panowania hiszpańskiego. Zdobyte Filipiny, na których zresztą wybuchło powstanie niepodległościowców filipińskich, dających do zrzucenia znienawidzonego jarzma hiszpańskiego—stanowiło jedynie epizod w tej wojnie, i w zasadzie nie przesądzało losu archipelagu. Imperialiści amerykańscy z ówczesnym prezydentem Stanów, Mac Kinleym i Teodorem Rooseveltem na czele wystąpili od razu z żądaniem wcielenia Filipin do Stanów, spotkali się jednak w swoim kraju z niezwykle silną opozycją i nie wiadomo, czy byli by zwyciężyli,

gdyby nie... Wilhelm II.

Ten pajac, który uważał, że przy każdej okazji należy zarobić, wystąpił w Londynie z propozycją podziału całego spadku kolonialnego po Hiszpanii między Niemcy i Anglię. Wielkiej Brytanii takie usadowienie się Niemiec na Pacyfiku oczywiście nie dogadzało, z drugiej strony rząd angielski, który był właśnie w okresie starań o jak najlepsze stosunki z Niemcami nie chciał wprost odrzucić propozycji cesarskiej. Znalazł więc wyjście pośrednie. Dnia 20 lipca 1898 ambasador Stanów w Londynie, Hay, wysłał do Waszyngtonu depeszę, w której stwierdził, że rząd Wielkiej Brytanii uważa zajęcie Filipin przez Stany Zjednoczone za rzecz pożądaną.

Ta depesza przechyliła szalę na korzyść aneksjonistów. I tak jednak, gdy przyszło do głosowania w Senacie zajęcie wyspy zyskało zaledwie jeden głos ponad ustawowo konieczną większość dwóch trzecich. Tak silne były opory moralne przeciw polityce zaborczej

—inne względy bowiem nie odgrywały wówczas roli. Nastąpiło kilka lat, w czasie których wojska amerykańskie musiały z kolei walczyć z gerylasówką niepodległościowców filipińskich, poczem sytuacja się ustaliła. Filipiny otrzymały nader szeroki samorząd z własnym parlamentem i nawet własnym prezydentem, kapitały amerykańskie ożywiły życie gospodarcze, wzrósł dobrobyt, podniosła się oświata.

Wreszcie w 1932 roku Kongres uchwalił, że z roku 1946 Filipiny otrzymają zupełną niepodległość, w międzyczasie zaś rola Stanów ograniczyć się właściwie jedynie do obrony Filipin przed niebezpieczeństwem zewnętrznym. Bowiem w latach między datą zajęcia Filipin, a postanowieniem przywrócenia im niepodległości nastąpił szereg istotnych zmian w sytuacji światowej, które sprawę filipińską postawiły na nowej płaszczyźnie.

Przed wszystkim na arenie światowej zjawilo się nowe mocarstwo zaborcze i imperialistyczne: Japonia. Filipiny w pojęciu japońskim stanowiły część japońskiego *Lebensraum'u*, winny były przejść pod japońskie władanie. Nie ulegało wątpliwości, że tego dnia, w którym by amerykańskie wojska opuściły Filipiny zjawilyby się tam wojska japońskie. Zajęcie Filipin przez Japonię dawałoby jej pierwszorzędną odskocznice do dalszej ekspansji na morzach południowych. Filipiny stawały się więc pierwszą linią obrony kontynentu amerykańskiego przed parciem Japonii. Dlatego też wprowadzenie w życie niepodległości Filipin zostało odłożone aż do roku 1946, to jest do daty, która według wszelkich przewidywań była późniejsza od tej ostatecznej rozgrywki.

Dlaczego jednak w ogóle Kongres uchwalił niepodległość Filipin? Skąd to bezinteresowne zrzeczenie się posiadłości? Pisałmy wyżej, że już w chwili zabioru istniała w Stanach silna opozycja, powodująca się względami idealistycznymi. Niewątpliwie w postanowieniu Kongresu z 1932 roku i te względy odegrały rolę. Decyzja ta była w zgodzie z ogólną polityką Roosevelta dążącą do tego, aby zastąpić przez stosunki do broszędziekie bezpośrednią ingerencję Stanów w sprawy państw innych. Polityka ta wyrażała się w unieważnieniu *Platt amendment* na Kubie, w wycofaniu wojsk amerykańskich z Haiti i Nicaragui i t.d.

Ale odegrały swą rolę i względy

inne. Filipiny, jako całość nie stanowiły dla Stanów interesu. Stany dokładały do ich posiadania. Część przemysłowców amerykańskich zarabiała na Filipinach: mieli tam dostęp do pewnych surowców, mieli rynek chroniony przed obcą konkurencją wysokimi cłami. Dla dwu potężnych grup jednak Filipiny były nieznosnym ciężarem.

Pierwszą z nich stanowili farmerzy, którym produkty rolne z Filipin, z powodu różnicy standardu życiowego znacznie taniej wyprodukowane, obniżały cenę ich własnych produktów. Drugą grupą były amerykańskie związki zawodowe. Wiadomo, że ograniczenia imigracyjne Stanów w znacznej mierze były narzucane przez związki zawodowe, które obawiały się emigrantów europejskich, jako taniej siły roboczej, obniżającej płace. Takim samym a jeszcze tańszym robotnikiem był Filipin. Póki Filipiny należały do Stanów, żadnych ograniczeń imigracyjnych w stosunku do nich nie można było przeprowadzić.

Tego że Filipinicy sami nie przestawali dążyć do pełnej niepodległości nie trzeba tłumaczyć. W Stanach przemagały się dwa poglądy. Gdy Kongres po raz pierwszy uchwalił niepodległość Filipin, Hoover, ówczesny prezydent, założył sprzeciw. Oświadczył: „Jesteśmy powiernikami tego kraju i nie wolno nam w imię naszych interesów egoistycznych porzucić tego powiernictwa.” Podług Hoovera, reprezentanta interesów przemysłowców Stanów Filipinos byli „niedojrzałymi” do niepodległości. Kongres jednak ponowił swą uchwałę i Roosevelt ją zatwierdził.

Dzisiaj widzimy mądrość tej polityki. Co jest bowiem znamienne w obecnych walkach, to to, że—po za garstką faszystów miejscowego autoramentu—nie ma „piętej kolumny” filipińskiej. Filipinicy walczą ramie przy ramieniu z wojskami amerykańskimi i uważają Amerykanów nie za znienawidzonych okupantów, ale za obrońców wolności Filipin. A to i dziś, i później, gdy trzeba będzie Filipiny Japończykom odbierać ma pierwszorzędną znaczenie.

Inne „pięte kolumny” natomiast na Filipinach działały w pełni i w znacznej mierze przyczyniły się do powodzenia japońskiego. „Kolumn” tych było trzy. Pierwszą z nich oczywiście stanowili sami Japończycy. Japońska kolonia na Filipinach była nie-

zwykle liczna. Względnie nieostrą polityką imigracyjną pozwalała im się osiedlać i zajmować dogodne stanowiska strategiczne. Tak np. na szeregu wysp Japończycy posiadali ziemie, na której potem lądowały aeroplany japońskie. 80% floty rybackiej Filipin było kontrolowane przez Japończyków. To znaczy, że nie tylko japoński sztab generalny miał wszelkie informacje o możliwościach lądowania, ale miał do rozporządzenia na miejscu flotyllę transportowców.

Drugą grupę dywersantów stanowili Niemcy, zarówno osiadli oddawna jako kupcy i t.d., jak i świeży „turyści” z pod znaku Gestapo. Koordynatorem ich był niejaki dr. Hans Lautenschlager, który uprzednio „pracował” w Szanghaju.

Trzecią grupę wreszcie formowali falangiści hiszpańscy. Hiszpania Franca przypominała sobie, że nie tak dawno jeszcze Hiszpanie jako panowie rządili „ciemnymi” Malajami filipińskimi i zaczęli między Hiszpanami pozostałymi na wyspach szerzyć nie tylko ideały totalizmu, ale i nadzieje powrotu władzy hiszpańskiej. Szkoły—przy pomocy kleru, bardzo wpływowego na Filipinach—zostały objęte przez falangistów. Prospekt jednej z tych szkół mówi: „Młodzież będzie się uczyła historii, geografii i literatury kraju macierzystego, tak samo jak ich bracia i siostry na półwyspie.” Ojciec Silvestre Sancho zaś, dyrektor największego gimnazjum filipińskiego oświadczył publicznie, że nie uznaje rządów ani amerykańskich, ani filipińskich, bo „Filipiny są częścią Hiszpanii.” „Otoż ci falangiści hiszpańscy za pośrednictwem Lautenschlagera weszli w porozumienie z miejscowymi Japończykami i stanowili trzecią podporę „piętej kolumny.”

Japończycy ich pokwitowali. W szkołach filipińskich mają obecnie obowiązywać dwa języki: japoński i hiszpański. Jeszcze pomoc Falangi jest potrzebna i na Filipinach i w Południowej Ameryce—zarówno Japończykom, jak Niemcom. Gdyby jednak Japonia zwyciężyła, Franco rychło by się przekonał, że to nie dla niego wojska Mikada zdobyły Filipiny.

Tylko do tego nie dojdzie. Filipiny zapewne będą czasowo zajęte. Ale na krótko. Po wojnie zaś rządzą nimi będą nie Japończycy i nie Hiszpanie i nie Amerykanie, ale sam lud filipiński.

CZESŁAW POZNAŃSKI

GROZBA JAPONSKA ROSNIE

Wypadki na Dalekim Wschodzie postępują w ostrym tempie. Zagrożenie Singapuru rośnie, albowiem armie japońskie prą w stronę cieśniny morskiej, dzielącej półwysp malajski od wyspy, na której znajduje się twierdza Singapore. Wydaje się, że siły brytyjskie, które stawiają opór na lądzie stałym nie mogą być nadmiernie duże.

Utrzymanie jednak ładunku stałego jest zadaniem ważnym, jeżeli nie wprost koniecznym, albowiem inaczej odsłoni się sam Singapore na atak powietrzny Japończyków. Jeżeli trzeba będzie porzucić ląd stały, to wówczas Singapore polegać będzie musiał wyłącznie na własnych trzech lotniskach, a zatem dopuszczać bombardówce japońskie na nader bliski dystans, zanim myśliwce angielskie będą mogły podnieść się ze swoich baz na wyspie.

Japończycy nie tylko dobierają się od strony lądu do Singapuru, wiedząc doskonale, że atakowanie jego od strony morza byłoby zadaniem więcej niż nieprzyjemnym. Ich akcje, rozrzucone i nader pomysłowe, idą w kierunku ku rozmaitym punktom na Oceanie Spokojnym. Japończycy lądują gdzie się da, dowodząc, że opanowali świetnie sztukę desantu. Ludziska zaprawieni w robocie rydżów ciągną przez rozlewiska wody bez sprzeciwu i w praprawa działa i wszelaki sprzęt na sznurach.

Japończycy pokazali światu, że odrabiają wojnę w trudzie i pocie, że przygotowali się do niej długo i mozolnie i że już od dziesięciu lat marzą o ataku na Australię od tego bowiem czasu umacniali Wyspy Karolińskie, że rozwinięli bombardowce dźwigające torpedy celem atakowania wielkich jednostek morskich, że

lotnictwo ich nie jest ani takie słabe ani takie materiałowo liche, jak to opowiadano.

Oczywiście Japonia zabiega o szybki sukces, albowiem jest państwem krótkiego oddechu i musi wiedzieć, że Stany Zjed. skoro tylko rozrzucają swoją produkcję, będą dla Japonii śmiertelnie groźne.

Japonia wie o tym wszystkim i łapie zdobywcę w gorączkowym pośpiechu. Całe zagadnienie polega na tym, ażeby temu japońskiemu pośpiechowi przeciwstawić również pośpiech i ażeby zahamować przynajmniej w paru najważniejszych punktach parcie japońskie.

STRATEGIA DALEKIEGO WSCHODU

Australia zaniepokojona jest postępowaniem japońskimi i uderzeniem na Nową Gwineę. Wzywa zarówno Londyn jak Waszyngton do udzielenia pomocy w lotnictwie, żąda również przedstawicielstwa w gabinecie wojennym. Wydaje się, że utworzenia imperialnego gabinetu wojennego nie da się już obecnie zbyt odłożyć. Przedstawiciele Australii, Nowej Zelandii, Pół. Afryki i Kanady mieliby wejść do Imperial War Cabinet. Byłby to krok zupełnie zrozumiały, albowiem wojna rozprzerżeniła się na całe Imperium i ma ono słuszne powody, ażeby żądać udziału w planowaniu i wykonywaniu tej wojny.

Strategia na Dalekim Wschodzie musi być wcielona w życie jak najszybciej. Generał Wavell musi otrzymać zasoby i ludzi. Najwięcej zawiśło od Ameryki, albowiem ona może dać zarówno

jedno, jak i drugie prędzej i łatwiej, aniżeli stara ojczyzna—Anglia.

BLISKI WSCHÓD—ZAGADKA

W Libii generał Rommel otrzymał posiłki i przeszedł do ofensywy. Port w Trypolisie rażony jest bombami maszyn brytyjskich, które podnoszą się z lotnisk wokoło Benghazy i dlatego trzeba utrzymać Benghazę—inaczej Trypolis będzie niejako swobodniejszy w ruchach a transporty niemiecko-włoskie będą dążyły do portów Trypolitanii szerszą strugą.

Sytuacja na Morzu Śródziemnym zaczyna się robić nieco zawiła. Ataki na Maltę mnożą się, co by wskazywało, że jednak jest to wstęp do jakiejś drastycznej akcji na południu. Włoch przebywa jeden z zdolniejszych generałów niemieckich, Geissler, specjalista od wojny lotniczo-desantowej/. Hiszpania zachowuje się również tak jakby szła na dalsze ustępstwa wobec Rzeszy.

Z tej to racji prasa brytyjska zaczyna co raz mocniej podejrzewać, że jednak Hitler nie wytrzyma do wiosny czy do lata, kiedy zapowiada uderzenie w Rosję, ale że przedtem postara się o jakąś „bombę” w basenie Morza Śródziemnego.

Akcja Rommla dowodzi, że Rzesza nie rezygnuje ze swojego afrykańskiego atutu. Rommel jest dla Niemców sprawą prestiżu, jest cierniem, który Rzesza zamierza dalej utrzymać. Załatwienie się z Rommlem staje się niebywale pilnym zadaniem brytyjskiej strategii.

Szkice sytuacyjny

FRONT SOWIECKI PORUSZA SIĘ

Armie sowieckie idą na przód stale, a jak powiadają doniesienia ze źródeł neutralnych, kwatery główna Hitlera, która znajdowała się dotychczas w Smoleńsku została cofnięta do Mińska. Szef sztabu głównego, generał Halder, przebywa podobno jeszcze w Smoleńsku, ale sam Hitler wyprowadzić się miał do Mińska.

Niewiadomo w danej chwili jak przedstawia się sprawa dowództwa na froncie wschodnim, po wszystkich tajemniczych chorobach, zgonach i usunięciach, jakie dokonały się w ostatnich tygodniach w generalacji Niemiec. Wydaje się, że czystka, którą Hitler przeprowadza wśród generalicji jest wcale dokładna. Dawni przyjaciele i zausznicy idą pod noz, podobnie jak poszli kiedyś przyjaciele z pod znaku Roehma.

Czystka generalska nie przyczyni się napewno do wzmożenia wiary w zwycięstwo w społeczeństwie niemieckim, przeciwnie, wywoła obawy najgorszego gatunku—albowiem przeciętny Niemiec wierzy w swoje wojsko, wierzy w swoich generałów. Jeżeli chodzi o żołnierza niemieckiego, to dla niego fakt, że dowództwo naczelne nie przewidziało trwania kampanii wschodniej i że zaopatrzenie było niedostateczne—to również cios nielada.

Wszystko wskazuje na to, że dowódca niemiecki nie może wydobyc ze swojego żołnierza ani części tego, co mógł zeń wydobyc jeszcze przed kwartałem. Wydaje

się, że nastroje w armii niemieckiej w Rosji są liche. Nic dziwnego, że w tych warunkach Hitler zdecydował się posłać spore ilości swojego żołnierza na urlopy, odkarmienie, odpoczynek. Liczy na to, że wypoczęty żołnierz będzie miał więcej bitewnej ochoty na wiosnę.

Tego rodzaju decyzja była jednak mocnym ryzykiem, bo oto pociągnęła za sobą cofanie się na tzw. upatrzone pozycje. Ale gdzie są te upatrzone pozycje? Czy jest to linia budowana przez dra Todta gdzieś na Dnieprze? Czy Niemcy będą zmuszeni wypuścić Lenigrad z oblężenia, czy także będą musieli cofnąć się z Krymu?

Zajęcie Smoleńska, odwrót niemiecki z pod Leningradu, opuszczenie Krymu, oto byłyby trzy wskazówki, że armia niemiecka poniosła klęskę nielada i że armie sowieckie są w ofensywie na całego. Do kwietnia zadecyduje się wiele, jeżeli chodzi o operacje wschodnie. Nie tylko bowiem chodzi o to, ażeby posunąć się dalej i głębiej w teren zajęty przez wroga, ale aby sparaliżować w zarodku wszelkie próby stworzenia wypadu niemieckiego, przygotowania ofensywy wroga.

To jest właśnie zadanie, jakie stoi przed armią sowiecką. Wiadomo, że nie jest to zadanie łatwe. Ale dowództwo sowieckie ma wiary, że wykona to zadanie. Dotychczasowy przebieg kampanii dowodzi, że dowództwo to pocyna sobie mądrze i rozsądnie, że przygotowuje swoje akcje starannie i że daje sobie radę z olbrzymimi trudnościami. Stalin jest pełen optymizmu i ufności; jako człowiek trzeźwy musi mieć w ręku atuty, które pozwalają mu głosić optymistyczne zapowiedzi.

Londyn, 26-ego stycznia 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Rok j
półkach
brozur
"Dyan
ub.r. w
polski
kiej ksi
autora
co szer
Kpt. I
z armii
dawna
skowym
jajem t
deputuj
dziesięt
blicysty
szereg
jających
nie, jej
bach. W
cyfistycz
nie bud
tani, i
nowocze
armii.

Wysta
sie czy
loną opi
jest to
Hart ma
ski, pis
przebie
cofając
uznany
w dane
darmo s
Hamilton
dalekow
do myśl
naszych
jeszcze
sać na
w sposó
ogółu.
telnika
cie—suci
dyz woj
Od w
Hart zd
nym zw
unowocz
przez r

* Lidel
miedza
naktadem
octavo, c

Otrzym
W roz
wyspach
czuć, że
barwione
uświada
rzutem:
jowana
Polaków
ten szcze
i raz wr
z sumien
Niestet
tycznych
strasz
moraln
ci następ
gorętszy
walo. J
stosunku
jest sp
w Rosji.
zbiorkow
dawałaja
Wiemy
ten ap
potrze
zdumiew
wej ofiar
my i ofia
szerego
te o po
cel. Jed
jest jedn
proporcj
uposażeń
pierwszej
nie wiad
opubliko
Jeszcze
sprawa w
cji. W
ciężarem
dobrowo
każde ży
na to: w
tychmias
stwa, for
go i reg
dzenie zb
sobami.
nie powo
topu nies
otępiała
zadnych
w obozie
nie opoz
Wylacz
Rząd id
dzi, mi
spółcześ
słysz sta
sie ich
w kierun
tabeli op
tu dla
kie post
personel
oddoje 40

Książki o wojsku i wojnie

Obrona dynamiczna

Rok już mija od chwili, gdy na półkach księgarskich pojawiła się broszura kpt. Liddell Hart'a pt. "Dynamic Defence". W czerwcu ub.r. wyszedł jej przekład na język polski. Zarówno treść tej niewielkiej książki jak i sama osoba jej autora zasługują na to, by ją nieco szerzej omówić.

Kpt. Liddell Hart, który zresztą z armią czynną związany jest od dawna tylko swym tytułem wojskowym, nie jest autorem szukającym taniej popularności i wydeptującym wytarte ścieżki. Dwudziestolecie jego działalności publicystycznej i pisarskiej zawiera szereg pozycji, dowodnie wykazujących jego zdecydowane, wyrobione zdanie o nowoczesnej wojnie, jej wymaganiach i jej potrzebach. W okresie, kiedy prądy paucyfistyczne wpływały na ścieśnianie budżetu wojskowego W. Brytanii, domagał się tworzenia nowoczesnej, zmechanizowanej armii.

Wystąpienia jego czy to w prasie czy w książkach miały już ustaloną opinię. W każdym razie nie jest to lektura usypiająca. Liddell Hart ma temperament dziennikarski, pisze śmiało, dobitnie, nie przebiegając w porównaniach i nie cofając się przed atakowaniem uznanych powag i osób stojących w danej chwili u władzy. Nie darmo sędziwy generał Sir Ian Hamilton nazywa go "najbardziej dalekowszycim i pobudzającym do myślenia pisarzem wojskowym naszych czasów." Jako autor ma jeszcze jeden talent: oto umie pisać na tematy poważne, fachowe w sposób dostępny dla szerokiego ogółu. Mnie zainteresowało czytelnika złożonymi i—zdawało by się—suchymi zagadnieniami wiedzy wojskowej.

Od wielu, wielu lat był Liddell Hart zdecydowanym, nieustrasznym zwolennikiem i propagatorem unowocześnienia sił zbrojnych przez rozbudowę samodzielnego

lotnictwa i stworzenie potężnej broni pancernej. Domagał się organizowania wielkich jednostek pancernych, wtedy, kiedy dopuszczano zażędkie możliwości powiększenia ilości istniejących batalionów czołgów, jako wsparcia piechoty. W 1924 r. twierdził, że "najlepszą bronią, przeciwko której jest inny czołg," dwa lata później pisał, że "najlepszym wsparciem natarcia czołgów będzie współdziałanie lotnictwa nerkującego zamiast artylerii," a od 1920 r. głosił, że "manewr, oparty na pełniejszym zastosowaniu gąsienicowego napędu a nie na masach ludzkich jest kluczem zwycięstwa."

Dzisiaj, po dwóch latach wojny, po sukcesach niemieckich dywizji pancernych w Polsce i na Zachodzie, po kapitalnie przeprowadzonej przez gen. Wavell'a kampanii libijskiej, po siedmiu miesiącach zmaganiach sowiecko-niemieckich, takie zdania są przez wszystkich uznane za trafne. Ale jak to było poprzednio? Najwięksi dzisiaj propagatorzy mechanizacji i motoryzacji armii, publicznie odgryźnieli się od takich herezji jak n.p. decydujące znaczenie czołga w przyszłej wojnie.*

Niewątpliwie, kpt. Liddell Hart ma dar trafnego przewidywania roli sprzętu w wojnie nowoczesnej. To też poglądy jego, zwięzłe wyłożone w przetłumaczonej na polski broszurce, warto są przeczytać. Broszura powstała jednak jako zbiór kilku artykułów, publikowanych poprzednio w prasie codziennej czy periodycznej. To nadaje jej specyficzny charakter, to powoduje, że ton jest namiętny, nieraz brzmiały jak oskarżenie.

Interesujące dla Polaka są jednak głównie te rozdziały, w których autor precyzyjnie swoje poglądy na rolę nowoczesnego sprzętu.

* Wydać się wskazane podkreślenie różnicy między dwoma tymi pojęciami: wojska "zmotoryzowane" to oddziały, podwożone do akcji, ale walczące bez pojazdów /np. kawaleria czy piechota zmotoryzowana/, natomiast wojska zmechanizowane idą ze swoim motoryzowanym sprzętem w bój /np. czołgi/.

Samodzielność lotnictwa jako siły zbrojnej na równi z armią lądową czy flotą, jest dla niego—rzecz zrozumiała—podstawowym założeniem. W armii lądowej natomiast rozstrzygającą rolę przyznaje broni pancernej. Pojęcie broni pancernej w jego rozumieniu nie dotyczy samych tylko czołgów, ale wszystkich rodzajów broni i służb, które razem tworzą wielką jednostkę pancerną. W obrębie znowu takich wielkich jednostek pancernych, "dywizji pancernych" według doktryny niemieckiej, czołowe miejsce zajmują czołgi. Czołowe, ale nie wyłączne. Bo i w tej książce i w swych licznych innych publikacjach, autor zawsze podkreśla znaczenie nowoczesnej, zmechanizowanej, wielkiej jednostki.

To podkreślenie uważamy za szczególnie ważne, gdyż w polskiej prasie i opinii, nieraz i wśród fachowców panuje pod tym względem pewne pomieszenie pojęć. Wprowadza się pewne hierarchizowanie, pewne nadrzędności czy podrzędności broni czy służb. A istotną sprężyną hitlerowskich "Panzerdivisionen" jest właśnie doskonałe, idealne niemal zgranie wszystkich członów, wchodzących w skład tej wielkiej jednostki zmechanizowanej. Nie ma akcji czołgów bez rozpoznania motocyklowego i samochodami pancernymi, nie ma akcji czołgów przy oporze ze strony przeciwnika bez wsparcia przez zmotoryzowaną artylerię, czy, gdy nieprzyjacieli

mocno "siedzi"—przez nurkowce, nie ma wreszcie akcji czołgów bez pomocy i to jak najściślejszej pomocy zmotoryzowanych saperów, bez doskonale działającej łączności. Wiele nie rozbudowa takich czy innych samodzielnych oddziałów, ale ich zgrywanie, ich zbliżanie do siebie, ich zbratanie, przy całkowitym zatarciu przestarzałych przesądów o wyższości tego czy innego proporcjonalności, o różnicy między bronią czy służbą.

Ale broszura kpt. Liddell Hart'a mało mówi o organizacji tych wielkich jednostek, których tworzenia zamiast niezliczonych rzeszy źle wyposażonych a nawet niecałkiem umundurowanych dywizji piechoty domagał się przed wojną i już po jej wybuchu. Autor przeprowadza natomiast tezę, że metoda czołowego, frontalnego uderzenia odchodzi obecnie do lamusa dawnych taktik, a zastępuje ją wyszukanie "słabego miejsca," atak niejako na próbę: a nuż się uda.

I tezę tę przeprowadza bardzo konsekwentnie na przykładach kampanii 1940. Zapewne kampania sowiecka dostarczyłaby mu dalszych ilustracji. Bo istotnie, niemieckie dowództwo /a teraz za jego wzorem dowództwo rosyjskie/ uderza w różnych punktach, ale dopiero w tym rejonie, gdzie wstępne uderzenie zdola wybić wyłom, rzuca posiłki i wyrwie poszerza, wydłuża, rozciąga, umacniając co raz bardziej jej ścianę i zmuszając przeciwnika do krwawych a bezskutecznych przeciwdziałań. Autor twierdzi, że nowoczesna wojna wykazała wyższość elastycznej, dynamicznej, sprężystej, ruchliwej obrony nad uderzeniem, oczywiście pod jednym tylko warunkiem: że dynamiczna obrona rozporządza w danym miejscu przewagą 3:1.

I tu trafiamy na brak odpowiedzi na pytanie: Co będzie w razie spotkania dwu przeciwników o równej sile? Oczywiście, w broszurze wykazującej wyższość nowoczesnego sprzętu i nowoczesnej taktyki nad staromodnymi, milionowymi armiami nie ma co

szukać recept na zwycięstwo niezawodne. Autor wykazuje dla czego milionowe armie francuskie zostały rozbite niemal przed ich wprowadzeniem w akcję, dlaczego nakazywane przez Weygandę kontrataki były skazane na niepowodzenie. I przede wszystkim wykazuje, że pomimo, iż Niemcy zaatakowali Holandię i Belgię, to właściwie akcję ofensywną prowadzili Sprzymierzeni. Oni bowiem opuścili dobre, uprzednio przygotowane stanowiska nadgraniczne i zapuścili się na teren Belgii, która do ostatniej chwili skrupulatnie przestrzegała swojej neutralności i broniła się nawet przed informacyjnymi rozmowami przedstawicieli sztabów belgijskiego i Sprzymierzonych. I ten pogląd autora jest może najciekawszy. I—powiedźmy szczerze—przekonywający.

Zdaje się, że można by wniosek z książki zamknąć w jednym zdaniu: działania ofensywne wymagają znacznie większego przygotowania zarówno w sprzęcie i zaopatrzeniu jak i w planowaniu, niż obrona. Jednak ta teza bynajmniej nie jest zachwalaniem obrony jako sposobu wygrywania wojny. Przeciwnie. Jest zachętą do tym staranniejszego przygotowania się pod każdym względem i na każdym szczeblu do działań ofensywnych, do "manewru szybkich czołgów na tyły przeciwnika dla sparaliżowania jego komunikacji i dowodzenia."

Przekład staranny i sumienny sprawia, że polskie wydanie czyta się z tym samym zaciekawieniem co oryginał, pisany z dużym zacięciem i rozmachem. Zastrzeżenie może wzbudzić stosowane przez tłumacza wyrażenie: "Królewski Korpus Pancerny" na "Royal Tank Corps" z poprzedniej wojny. W polskim słownictwie wojskowym korpus ma znaczenie raczej administracyjne /D.O.K./ albo operacyjne /niemieckie "korpusy pancerne"/, złożone z dwóch lub więcej dywizji pancernych/. Natomiast R.T.C. odpowiada raczej dowództwu Czołgów.

STEFAN KOSSAK

Otrzymałmy następujące listy:

W rozmowach z Polakami na wyspach brytyjskich daje się wyrazić, że całe ich życie uczuciowe podbarwione jest, mniej lub więcej jasno, świadomością, że stają się ofiarą wojny. "Jesteśmy tak uprzywilejowaną emigracją wobec gehenny Polaków w kraju, czy w Rosji, że ten szczęśliwy los dreczy i upokorza i raz uraz czynić każe rozrachunki z sumieniem."

Niestety wyciągnięcie praktycznych wniosków z tego poczucia strasznego zadołżenia moralnego wobec naszych braci następuje rzadziej, niż by to się gorętszym z nas i wrażliwszym zdawało. Jednym z probierzy naszego stosunku do tej postawy moralnej jest sprawa pomocy Polakom w Rosji. Przebieg i atmosfera akcji zbiorowej nie dla wszystkich są zadowalające.

Wiemy, że odpowiedź żołnierza na ten apel może być największą potrzebą wojennej pomocy. W Polsce uginaliśmy się pod ciężarem różnych, mniej lub więcej dobrowolnych, pożyczek, a ponadto szereg oddziałów wprowadził stałe opodatkowanie na ten cel. Jednakże opodatkowanie to nie jest jednolite, nie pociągno za sobą proporcjonalnego w stosunku do ułożenia obciążenia, a wyniki tej pierwszej wielkiej zbiórki w armii, nie wiadomo dlaczego, nie zostały opublikowane.

Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa w cywilnym odłamie emigracji. W Polsce uginaliśmy się pod ciężarem różnych, mniej lub więcej dobrowolnych, pożyczek, a ponadto szereg oddziałów wprowadził stałe opodatkowanie na ten cel. Jednakże opodatkowanie to nie jest jednolite, nie pociągno za sobą proporcjonalnego w stosunku do ułożenia obciążenia, a wyniki tej pierwszej wielkiej zbiórki w armii, nie wiadomo dlaczego, nie zostały opublikowane.

Wylącam tu zabiegi i starania Rządu idące w miliony dolarów, chodzi mi tylko o bezpośredni odruch społeczeństwa emigracyjnego. Nie słyszę statych apelów, a należało by się ich spodziewać, nie widać kroków w kierunku ogłoszenia progresywnej tabeli opodatkowania, jako standardu dla wszystkich, a wielu tylko takich postawienie zobowiązań. Fakt, że personel ambasady w Kujbyszewie oddaje 40 procent swych poborów na

Pomoc dla Polaków w Rosji

cele pomocy rodakom nie został opublikowany i wyszukany. "Dziennik Polski" tak skory do publikacji tematów rosyjskich ma skromny bilans w akcji propagandowej na rzecz pomocy.

Szczególnie zadziwia i rewoltuje milczenie, a kto wie czy i nie urogość wobec tej akcji sfer t.zw. opozycji. W Stanach Zjednoczonych widzimy w "Nowym Świecie" wyrażenie próby sabotowania pomocy przez wyolbrzymianie trudności transportowych, podrywanie z góry zaufania do pewności dostarczenia i należytego rozdziału, natomiast w Wielkiej Brytanii przyjęto metodę przemilczania sprawy.

"Wiadomości Polskie" zbierają na "fundusze stypendialne" zapominając o Rosji; wyspecjalizowały się natomiast w przedrukowywaniu "aktualnych" myślowo utworów z naszej przeszłości literackiej. Do kogo np. jest skierowany przedruk Juliana Klaczki w ostatnim numerze, zawierający m.ł. takie zwroty: "... po takich ciężkich, jakie zadawała ręka Mikołaja, upojenie się dobrułnością Aleksandra daje się w części wytłumaczyć... Wyżółdź oczwiczony, skoro pan go nie przestanie, pelza mu u nóg, skacze do pierśi z oznakami najwyższego przywiązania, rzucony batog podaje w zębach z takim zaufaniem radosnym jak gdyby był pewien, że już nigdy na niego nie będzie użyty..." "Wiadomości Polskie" wysłała się w dużych ilościach do Rosji. Istotnie odpowiednia dla Polaków tamiecznych lektura.

"Myśl Polska" pozwoliła sobie na tego rodzaju współżycie w Nr. 17 "... Rzeczywistość ich /Polaków/ w Związku Sowieckim jest jeszcze bardzo ciężka. Rozumiemy np. ich radość z otrzymania brytyjskich mundurów, skoro przy 42 stopniach mrozu nie mają w Buzuluiku w namiotach..." Poza tym milczenie o sprawach pomocy i tylko złośliwe tu i ówdzie uwagi na temat stosunku Polaków w Rosji do Rządu gen. Sikorskiego.

Rekordem są "Fakty i dokumenty" p. Mackiewicza! Roztrząsając pozytywny stosunek Polaków w Rosji do gen. Sikorskiego pisze Mackiewicz dosłownie: "Należy tych ludzi zrozumieć. Żyją oni w stanie nienormalnym, w głodzie, nędzy i strachu więzienia i rozstrzelania, w ciągłej hańbie i poniżeniu

godności ludzkiej. W tych warunkach ich patriotyzm nabiera charakteru bezkrytycznej egzaltacji, która powoduje także bezkrytyczny i egzaltowany stosunek do polskiego premiera" /"Styczeń" str. 22/.

Do czego doprowadza nas zaciekłość polityczna, w jakie brniemy moralne bagno, że w t.zw. opozycji nie padł ani jeden głos za akcją pomocy Polakom w Rosji, że nawet nie przyszło im na myśl zasachować sfery rządowe inicjatywą gorętszą w tym zakresie, lub po prostu przeciwstawić most ponad sporami politycznymi zgłoszeniem współpracy i przykładem ofiarności. P. Mackiewicz w załączeniu nie docenił wrażenia, jakie by np. wywarł napis na jego wydawnictwie: "Całkowicie do chod przenaczam na pomoc Polakom w Rosji," zwłaszcza, że wszyscy członkowie Rady nadal pobierają pobory w pełnej wysokości i bez wykreślenia mogą podejmować wizytujących ich żołnierzy w imieniu.

Wyrażają nas bardziej ludzkim zrozumieniem cierpienia Anglii i Szkoci. Kilka ośrodków prowadzi żywą i energiczną akcję. W Szkoci ogólniejszą ją Pulk. Mitchell i oddział T-uwa Polsko-Szkockiej, w Anglii ze specjalnym apelem radiowym wystąpił znany publicysta Vernon Bartlett. Rezultaty tego apelu to blisko 3000 listów i ponad 2000 funtów w czekach oraz około stu paczek z darami w naturze, wszystkich na przestrzeni kilku dni.

Większość listów przejmująca swą zwięzłością, pisana strudzonymi rękami ludzi pracy. Często powtarza się wzruszające życzenie: "Niech Bóg błogosławi Polaków, którzy tyle cierpią dla sprawy Prawdy i Wolności." Robotnik angielski przysłał anonimowo funta, pisząc krótko: "Niech Bóg pomaga Polsce." Starzec 72 letni nie skąpi części renty dla "biednych ludzi, którzy stracili dom i ojczyznę." Wielekroć piszący wyrażają "największy podziw": dla "gallant allies," dla "niezwykłego dzielności bohaterstwa," dla "dobrej sprawy" i t.d. Szczególnie wzruszający jest krótki list robotnicy: "Moja matka emerytka, lat 83, przesyła 2/6, ja też nie mogę dać więcej. Nasze myśli i modlitwy są z tymi dzielnymi ludźmi,"—a wyjątkowo daje ducha tego narodu list inny: "Musimy pomóc dzielnym Polakom i życzyć im zdrowia, siły i odwagi, by pomogli zniszczyć Niemców, któ-

rzy niegodni są, by ich ta ziemia nosiła. Stara Kobieta." Tak zareagowali "zimni" Brytyjczycy!

Niech "Polska Walcząca" nie przestaje dzwonić na alarm o dalsze energiczniejsze prowadzenie zbiórki i ewentualne zorganizowanie Komitetu, jak to proponował p.A. Mamrot /w nr. 1 z b.r./.

Kłopotem są plotki, że dary nie dojdą do miejsca przeznaczenia. Przysłiki odchodzą regularnie w równych partiach, ciągle otwarte są duże możliwości zakupów na Bliskim Wschodzie i przekazywania tam sum zebranych. Argument, że cała nasza akcja może być mikroskopijnym ułamkiem wobec milionowych operacji rządowych jest tylko niegodnym wykretem.

Musimy zdobyć się na najwyższą ofiarności nie tylko dlatego, że te pieniądze coś zaważą na szali /a kiedyś "groźni wdowi" już szalę tę przeważa/, ale głównie, żeby zachować godność narodową i ludzką i zmniejszyć ciężar "uprzywilejowania," który nam spokoju nie daje.

Adam Kujański

Redakcja Polski Walczącej

Londyn.

Uprzejmie komunikuję, że personel stały Szkoły Pilotów zebrał na rzecz pomocy Polakom w Rosji sumę £ 162 sh. 2 d 10 oraz kilkanaście paczek odzieżowych, które zostały przesłane wraz z pieniędzmi do P.C.K.

Aby ofiarodawcy mieli zadowolenie moralne z wypełnionego obowiązku, a ci, którzy jeszcze nie zdecydowali się, zachęte i podniecie do tej szlachetnej rywalizacji, proszę o umieszczenie na łamach poczytnego pisma podanego zestawienia.

Adiutant Polskiej Szkoły Pilotów

Kompania Saperów I Brygady Strzelców złożyła oprócz ofiar w naturze 38 £ 15 sh 6 d w gotówce.

Szanowny Panie Redaktorze, przesyłając załączony czek na pięć funtów na pomoc Polakom w Rosji, przepraszam, że obarczam Pana osobiście obowiązkiem udawania się do banku (tylko Lloyd) celem wykupienia go. Stacja, na której jestem, jest dość oddalona od poczty i trudno o... "postal order."

Stanowczo proszę o nieumieszczenie mojego nazwiska w piśmie (w rubryce ofiar); o ile konieczne jest wymienić wpływy—proszę zaznaczyć: por. ucz. pil. X.Y.

Szanowny Panie Redaktorze, przepraszam bardzo za fatygowanie Sz. Pana, ale doprawdy nie mogę w tej chwili znaleźć nigdzie adresu Polskiego Czerwonego Krzyża, któremu chcę przesłać tę drobną sumkę na pomoc Polakom w Rosji czy też gdziekolwiek indziej—jedynym środkiem łączności jest w chwili obecnej Północny adres, który znalazłem w jednej z Północnych gazet. Korzystam więc z tego wierzając, że nie odmówi mi Pan tej drobnej przysługi i prześle pieniądze pod wspomnianym adresem—a raczej do wspomnianej instytucji, której adresu chwilowo nie posiadam. Proszę brzo. Boże nie ogłaszać żadnego pokwitowania w gazecie lub gdziekolwiek indziej—wstać i koniec.

Z poważaniem

J. W. por mar. woj.

Sumę 3 funtów załączam.

Szanowna i Kochana Redakcja!

Przesyłając w załączeniu kwotę 1£ i 10 sh./jeden funt i dziesięć szylingów/prosimy uprzejmie o zamieszczenie możliwie w najbliższym numerze "Polski Walczącej" w dziale ogłoszeń o składkach następującej wzmianki:

Człowiek Teatralka W.P. "Lubowska Fala" zamiast upominku imieninowego dla swego kochanego Kierownika Wojskowego składa kwotę 30 szylingów na pomoc Polakom w Rosji.

Z góry dziękujemy za oddanie nam tej przysługi i przesyłamy Szanownej Redakcji najserdeczniejsze koleżeńskie pozdrowienia.

Za Zespół:

Ludwik Bojczuk

Ponadto otrzymałmy na ten cel od p. Adama Ordegi nieprzyjęte honorarium za artykuły drukowane w "Polsce Walczącej" £3; od plut. pch. K.Z. "zamiast pójścia na dancing" sh.6; od kpr. A.T. "z myślą o imieninach córce Agnieszki, która jest w Polsce" sh.10; od ułana z "Czarnej Brygady" sh.5.

Łączną sumę: £13 sh.11 przekazaliśmy Polskemu Czerwonemu Krzyżowi.

Cykl fotografii wyróżniony na konkursie fotograficznym "Polski Walczącej"

ulożył Stefan Osiecki



Pewnego zimowego dnia—było to rok temu—kontortorpedowiec "Błyskawica" podniosł kotwicę w jednym z portów szkockich. Rozkaz Admiralicji brzmiał: " Eskortować konwój transoceanicznych statków handlowych do długości geogr. "X" i szerokości geogr. "Y", gdzie otrzyma dalsze rozkazy." Dowódcą grupy okrętów eskortujących został wyznaczony dowódca ang. okrętu patrolowego.

Zadaniem każdej eskorty konwoju jest:

a/Ochrona konwoju przed atakami torpedowymi okrętów podwodnych.

b/Ochrona przed atakami z powietrza przed wszystkim, bombowymi jak również torpedowymi.

c/Ochrona przed atakami korsarzy nawodnych, będących typowymi okrętami wojennymi lub też zamaskowanymi statkami handlowymi, które zostały specjalnie w tym celu przerobione na okręty bojowe czyli t.z. krążowniki pomocnicze.

Okręt wychodził z portu przy spokojnej pogodzie, gwiaździstym niebie, które rozświetlał wąski sierp księżyca. Po wyjściu z portu, około północy, okręt eskortujący zaczął swoje poszukiwania konwoju poszedł natarczywymi kursami.

Pogoda pogarsza się raptownie. Wiatr wiejący z kierunku West o sile początkowej 5 mtr/sek podnosi się do 15 mtr/sek, przy czym barometr nadal gwałtownie spada.

Następnego dnia, godzina 11.00 otrzymujemy sygnał z prowadzącego patrolowca angielskiego: "Wracam do portu—proszę objąć dowództwo konwoju." Złożyło się więc tak, że dowódca "Błyskawicy" dowodził eskortą składającą

się z sojusznicznych okrętów wojennych.

O godzinie 16.00 wiatr przeszedł w sztorm o sile 8-10 według skali Beauforta/ do 25 mtr/sek/. Barometr spada w dalszym ciągu i około godziny 20.00 wynosi 731 mm/974 mb/. Następnie sztorm przechodzi w huragan—sila wiatru 11-12 wg. skali Beauforta (stopień "12" jest najwyższym wskaźnikiem tej skali) i równa się sile wiatru ponad 30 mtr/sek t.z. plus minus 115 km/godz.

Okręt rozpoczyna sztormowanie dziobem do fali. Fala wzrasta do wysokości 20 mtr przy długości ok. 100 mtr. Typowa fala sztormowa na Atlantyku wynosi 15 mtr wysokości i ok. 250 mtr. długości. Wierzchołki fal wysokości pięciopiętrowych domów, wznoszą się o kilka metrów ponad pomost bojowy.

Stan ten trwa przez całą noc i dzień następnego.

W rezultacie oddalamy się ustawicznie od konwoju. Pomimo tak fatalnych warunków staramy się nie stracić kontaktu z konwojem—w tym celu "Błyskawica" kilkakrotnie rezygnuje ze sztormowania, wraca i podchodzi blisko do konwoju i ponownie rozpoczyna sztormowanie.

Warunki widoczności spadły prawie do zera. Mnie jako laika wydawało się, że w tych nieprzenikalnych ciemnościach natknęliśmy się na jakiś statek konwoju i po prostu przetniemy go na pół. Utrzymanie łączności z konwojem stało się niemożliwe. Około godz. 07.00 trzeciego dnia drogi kontakt został stracony, na szczęście stało się to w momencie, gdy nasza asysta nie była już potrzebna.

Noc poprzedzająca ten dzień, pomimo całej swojej grozy nieustannych szwałów, gradu, ustawicznego zalewania całego okrętu olbrzymimi falami, długotrwałych kompletnych ciemności obfitowała w imponujące i niesłychanie rzadkie zjawiska.

Światła św. Elma kwitły na maszcie, olinowaniu, rejach i t.p. O intensywności tych zjawisk świadczy wyjątkowy fakt, że w pewnej chwili całe moje prawe ramię i sutewisko (kapłan-nakrycie głowy w czasie deszczu) świeciły tym światłem. Byłem też świadkiem również niecodziennych zjawisk w postaci olbrzymich wyładowań elektrycznych /błyskawic/ uderzających w grząble olbrzymich fal, którym co dziwniejsze nie towarzyszyły grzmoty. Zjawiska te występowały co chwila i trwały kilka godzin.

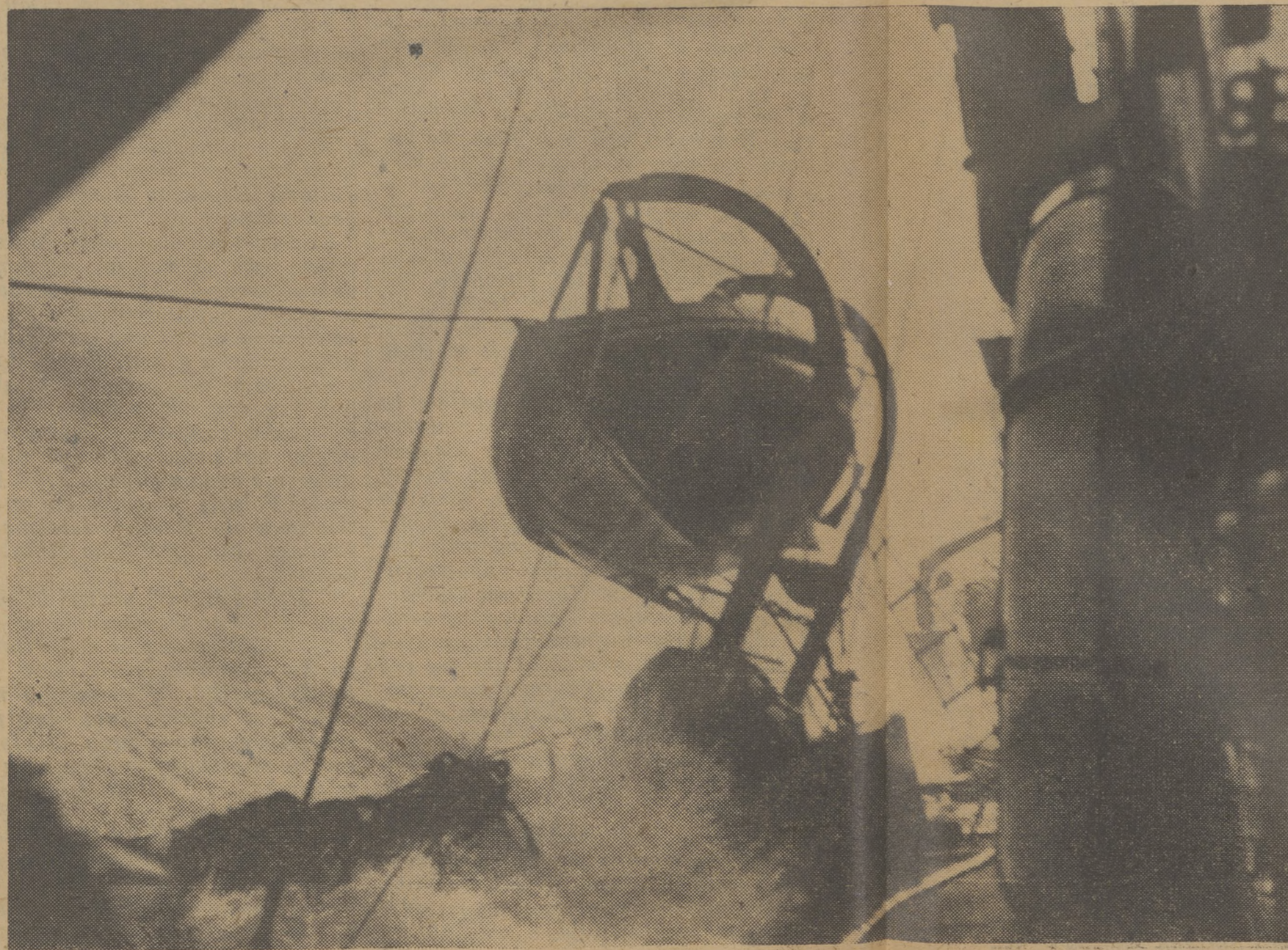
Nastął dzień sztormowy. Jesteśmy sam na sam z Oceanem. Z resztą eskorty porozumiewamy się tylko od czasu do czasu za pomocą sygnalizacji świetlnej. Nie jesteśmy w stanie oczekiwać dalszych rozkazów na pełnym oceanie, musimy wracać—awaria steru. O godzinie 10.00 dokonujemy niebezpiecznego zwrotu, mamy już fale z rufy. Sztormujemy rufą. Rozwijamy szybkość 20 węzłów w obawie, że fala będzie zalewała nam rufę—a więc wysięg z huraganową falą, tak że w pewnych momentach idziemy z szybkością ok. 40 węzłów.

O godzinie 10.40 ster całkowicie odmawia posłuszeństwa i zaczyna się w położeniu "lewo na burt." Wskutek tego próba sterowania samymi maszynami nie daje wyniku. Jesteśmy skazani na

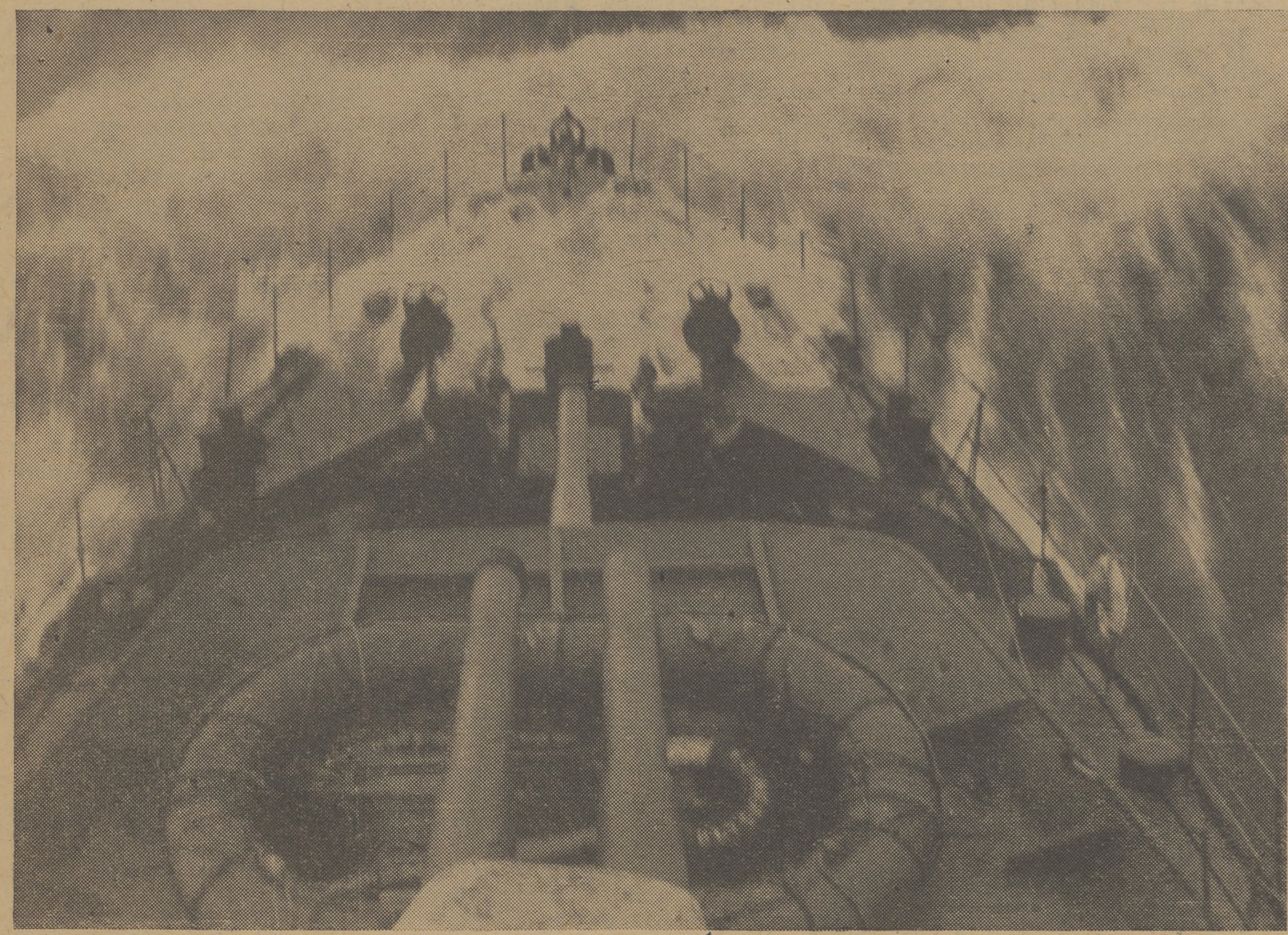
przebieganie się po falach. Fala zalewa dziób, a woda z prawej burty



Sternik

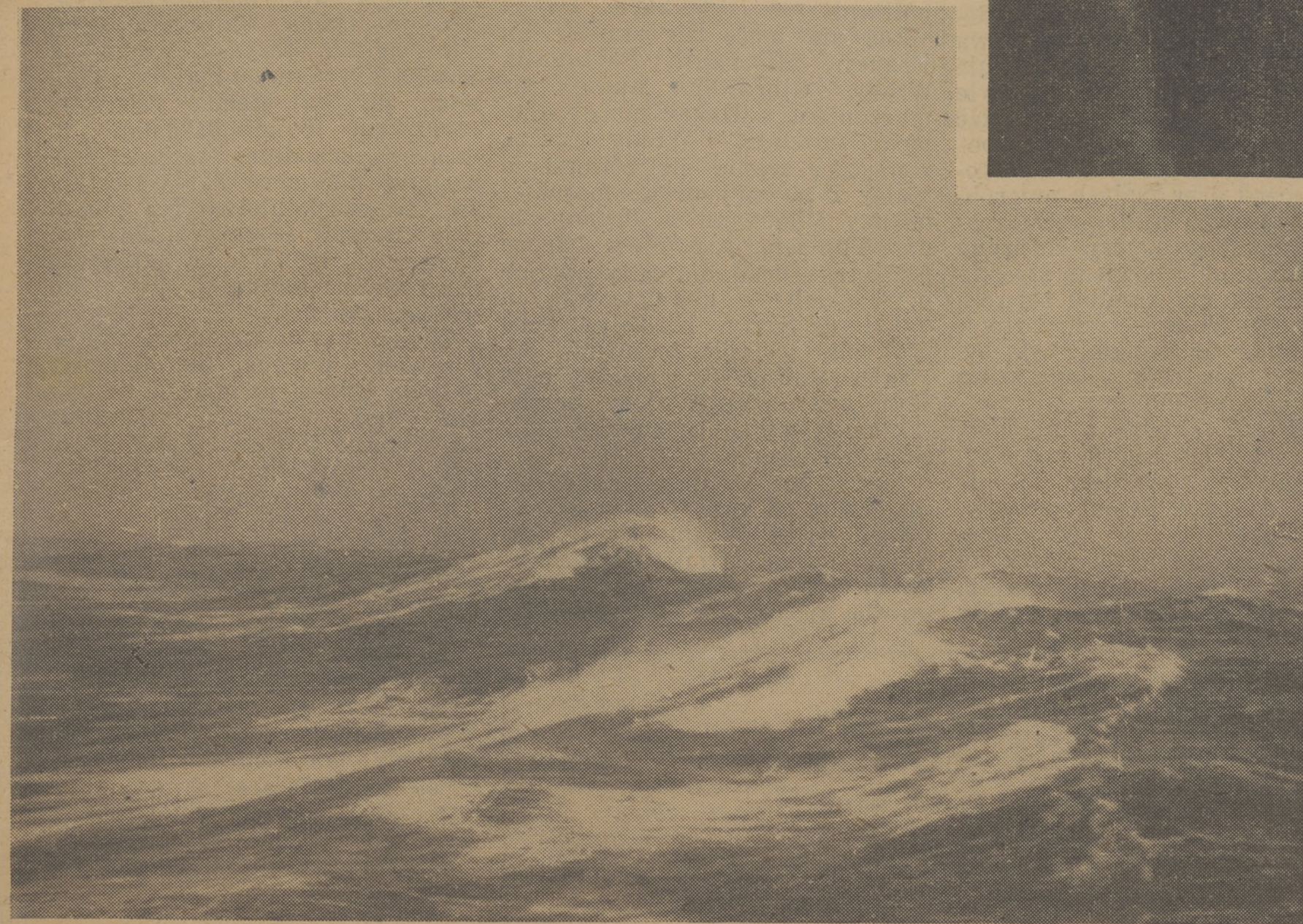


Góra wody z prawej burty



Fala zalewa dziób

W czasie Sztormu



Fala

laskie i nielaskie huraganowych fal, która całą swą potęgą i z całą pasją wala na zmięta ze wszystkich stron w okręt kręcący się niebezpiecznie w kółko. Wre gorączkowa praca nad naprawieniem steru, co chwila nadchodzi meldunki o dodatkowych awariach—nie licząc zniszczeń w prywatnych rzeczach, oraz pomieszczeniach załogi okrętu. Część marynarzy choruje na "morską chorobę."

A wreszcie punkt kulminacyjny—meldunek oficera mechanika. "Jeszcze jeden taki przechył a okręt się połazi i więcej nie wstanie." Dowódca okrętu oświadcza lapidarnie: "Trudno, robimy co możemy". Pokład zalewa fala za falą, a nawet pozwalają sobie one przewalać się nad okrętem z jednej burty na drugą. Pozostaje pytanie co zwycięży: geniusz i technika człowieka, czy też uścisk, beznadziejna masa żywiołu.

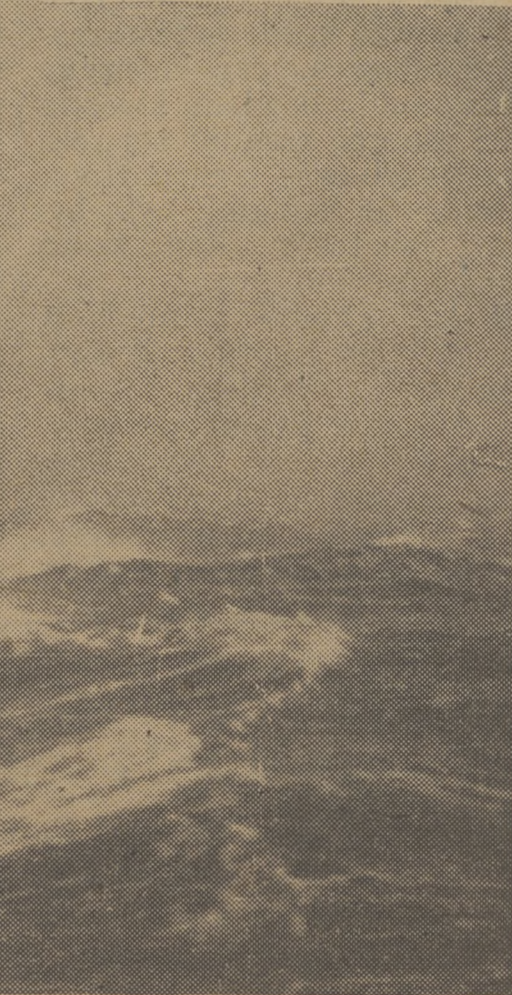
Okręt dąga, jęczy, walczy, kładzie się na burtę, wspina na fale i z łoskotem wali w dół /przechylił dochodził do 60 stopni/. Nareszcie jasniejszy promyk: "Ster naprawiony," lecz po chwili okazuje się że... zepsuty w dalszym ciągu. Fala zerwała łódź wraz ze szlupbelkami. Igraszka fal z bezwładnym okrętem trwa całą długą godzinę i jeszcze dłuższe czterdzieści minut /10.40-12.20/.

Nagle okręt jak dągnięty ostrągą wspiął się, ożył i runda w nakazanym przez dowódcę kierunku. Mamy przed sobą jeszcze długie przebieganie przez huragan, a poza sobą długą litanię zniszczeń na okręcie. Na szczęście nikogo nie zmyło z pokładu, pomimo że kilku oficerów i marynarzy zalała fala i znaleźli się poza burtą trzymając się kurczowo relingu, tylko cudem uniknęli śmierci. Nie było mowy o tym, abyśmy mogli wyratować tego, kto by się rozstał z okrętem choćby na ułamek sekundy, fale wysokości kilkupiętrowych kamienic siłą impetu zabłyły go przed jakąkolwiek możliwością ratunku.

Udało nam się więc do mezy oficerskiej i tam widzimy na podłodze w przykładnej zgodzie, widelce z jamem, cukier z nożami, szczątki talerzy, szklanek wraz ze szczątkami sztormowego umocowania zastawy stołowej. Całość przywalona krzesłami, fotelami, serwetami, popielniczkami, książkami i t.d.—Tutaj też wypocząć nie sposób.



Sygnalizacja



Wskutek tego, że sztormował ponad półtorej godziny bez steru—dokładne miejsce jest nieznane. Astronomiczne określenie pozycji okrętu jest nie do przeprowadzenia, a to z braku słońca i z powodu zakrycia widnokręgu górami podnóży. Goniometryczne określenie miejsca również niemożliwe, gdyż w czasie wojny brzegowe radiostacje goniometryczne nie działają.

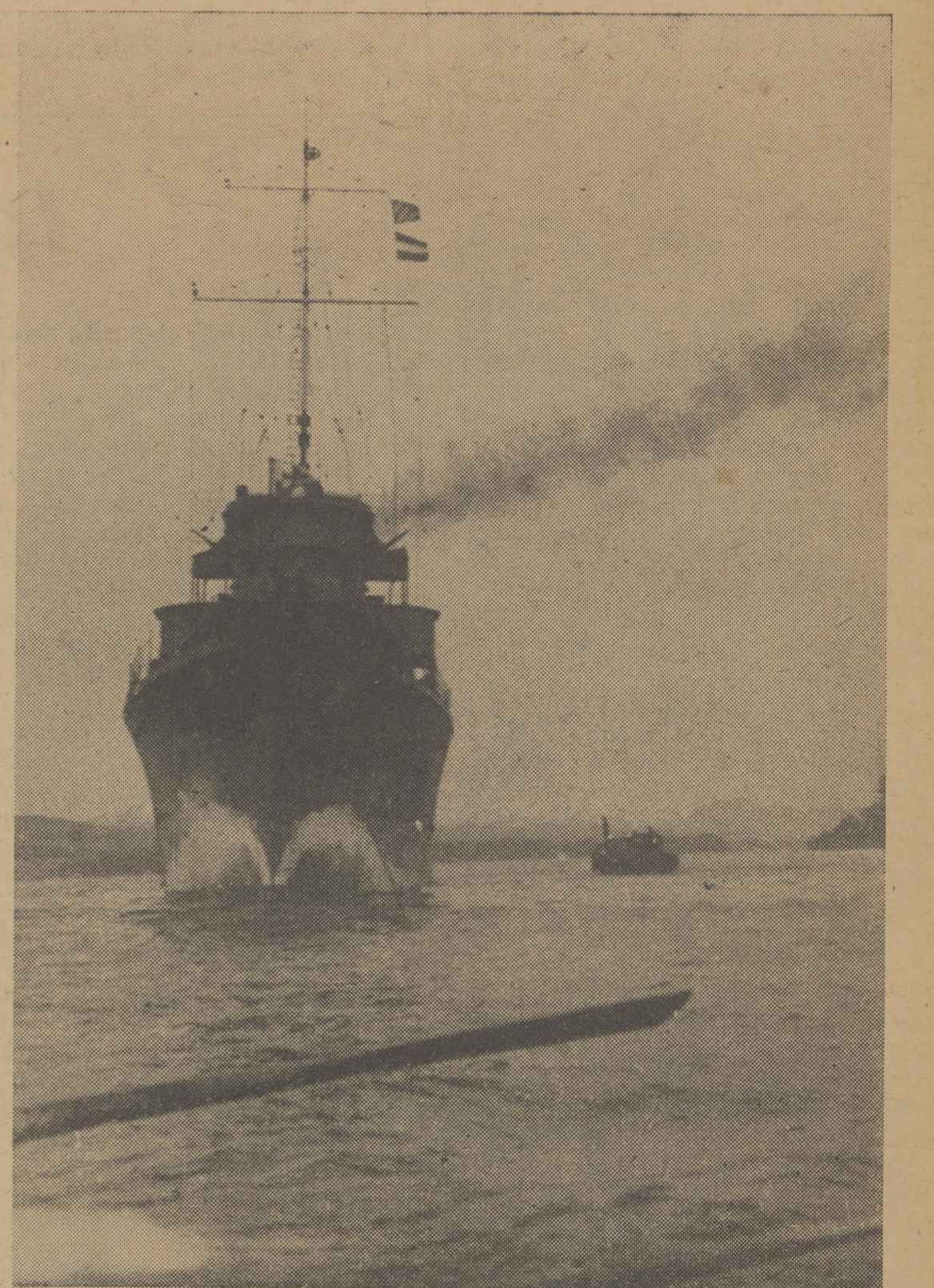
Płyniemy w/g zliczenia nawigacyjnego i szczęśliwie pod wieczór ukazują się nam wysunięte wyspy, do których podchodzimy. Ale teraz zaczyna się kłopot, gdyż trzeba zmienić kurs, który jest bardzo trudny do utrzymania tak ze względu na fale jak i na prowizorycznie naprawiony ster.

Po dwóch i ciężkich zmaganiach ukazuje się nam nareszcie zbawienne światło latarni morskiej a potem drugiej i trzeciej. Wszliśmy do cieśniny i zachodzi nowa obawa, że wskutek niepowinno działającego steru fala rozbije nas o skały.

Jednak o późnej nocy rzucamy kotwicę przed portem. Udało nam się do kabin na zastużony odpoczynek i tu nas czeka nowa niespodzianka—kabinę i inne pomieszczenia wyglądają jak po trzęsieniu ziemi, wszystko wywrócone do góry nogami, szkło zacięta podłogi, książki, ubrania, przybory toaletowe tworzą bezkształtną masę. Zapach wody koloniskiej zmieszany z zapachami kwasów siarkowych i solnych unosi się w powietrzu, wszystko zalane wodą. Zamiast odpoczynku sprzątanie. Nie też ze zmiany odzieży; musimy pozostać w mokrych rzeczach.

Udało nam się więc do mezy oficerskiej i tam widzimy na podłodze w przykładnej zgodzie, widelce z jamem, cukier z nożami, szczątki talerzy, szklanek wraz ze szczątkami sztormowego umocowania zastawy stołowej. Całość przywalona krzesłami, fotelami, serwetami, popielniczkami, książkami i t.d.—Tutaj też wypocząć nie sposób.

Dowiadujemy się, że siła huraganu była tak wielka, iż w samym



Błyskawica w porcie

Jedzenie zniszczone—pozostało więc tylko wypić krztynę alkoholu /ten się sztormowi nie poddał/ za pomysłne zakończenie mojej pierwszej tak niezwykłej podróży polskim okrętem wojennym.

Wczesnym rankiem wchodzimy do portu co z zepsutym sterem nie było rzeczą łatwą. W cieśniny ducha pragnęliśmy, aby okręty wojenne, statki, łodzie i mola ustępowały nam z drogi. Pomimo całego wysiłku i umiejętności o mało nie rozjechalibyśmy łódź.

"Kotwice rzucić"—i nareszcie oddychamy swobodnie.

Dowiadujemy się, że siła huraganu była tak wielka, iż w samym

porcie sztormowy wiatr zerwał z kotwicy kilkadziesiąt statków a kilka z nich pompatycznie osiadło na mieliźnie. Na innych mniej szczęśliwych okrętach pozmywało się pokładem oficerów, marynarzy, nikogo uratować się nie udało. Kilka statków poszło na dno. Ta część Atlantyku o tej porze roku słynie jako najniebezpieczniejsze miejsce na całym globie.

Narazie zaczęła się praca nad rejestracją uszkodzeń i ich naprawą. Potem nastąpią nowe trudy.

fotografie i tekst

WITOLDA BUCHOWSKIEGO

Wojna na Dalekim Wschodzie toczy się obecnie pod znakiem desantów powietrznych. Ten rodzaj akcji, wprowadzony został przez Niemców do nowoczesnej taktyki ofensywnej. Użyto do tego nowej broni, jaką jest piechota powietrzna, inaczej uzbrojona i inaczej szkolona, niż zwykła piechota.

Niemcy zaczęli od małego: od jednej skromnej dywizji doświadczalnej. Nie doszła ona do głosu w Polsce, dopiero w Belgii i Holandii wykazała swą ogromną użyteczność, działając z zaskoczenia. Ofiarą desantów padły forty broniące Kanalu Alberta, ofiarą desantów padać zaczęły w miarę rozwoju operacji wojennych na rozmaitych frontach przesmyki i cieśniny, które dotychczas uchodziły za nie do zdobycia, nawet przez broń pancerną. Desanty zmieniły najzupełniej charakter wojny nowoczesnej, niwelując pojęcie frontu jeszcze bardziej skutecznie, niż głębokie zagony pancernych jednostek.

W warunkach w jakich przyszło walczyć Japonii, desanty rozwiązywały wiele zagadnień, nader trudnych do rozwiązania, przede wszystkim zagadnienia nagłych a skutecznych ataków na wyspy, czy półwyspy. Lekcja niemiecka zrobiła swoje. W rezultacie wszystkie operacje japońskie, szczególnie te skierowane na tyły nieprzyjaciela, rozpoczynane są desantem z powietrza, wspartego w następnej fazie walki desantami z morza.

Wszystkim tym działaniom sprzyjał ogromnie fakt, że ilość lotnictwa myśliwskiego po stronie obrońców była minimalna, a więc i przeciwdziałanie znikome. Albowiem dotychczasowe doświadczenia uczy nas już nowej zasady: desant powietrzny musi być zwalczony w powietrzu, nim się stanie desantem. Wyniszenie spadochroniarzy, czy piechoty powietrznej na ziemi jest bardzo trudne i wymaga zaangażowania niewspółmiernej ilości sił lądowych, doskonale uzbrojonych i zaopatrzonych w broń pancerną.

Możliwe, że w tej chwili na Morzu Śródziemnym przygotowuje się podobna operacja. Malta, brytyjska baza lotniczo-morska, zamykająca stosunkowo ciasny przesmyk morski między Sycylią a Cap Bon i Bizertą, jest bom-

bardowana bez przerwy od trzech tygodni. Przyczyny tego bombardowania mogą być trojaki: unieszkodliwienie bazy w czasie przetrwania posilków dla Rommla, co wydaje się całkiem prawdopodobne, gdyż posilki te pojawiły się już na terenie Syrti, wstępując tam do akcji w rejonie Agheila. Dalej: zdobycie Malty na stałe, a przez to odzyskanie kontroli nad komunikacjami Włochy-Tripolis. Wreszcie—zdobycie Malty, jako bazy do dalszych działań w Afryce północnej. Istnienie obu ostatnich możliwości poparte jest realnymi argumentami w postaci silnych koncentracji lotnictwa i piechoty powietrznej na Sycylii.

Czy Niemcy posiadają w tej chwili dostateczne ilości wyszkolonych wojsk powietrznych? Czy nie wytracili ich w kolejnych kampaniach belgijskiej, holenderskiej, jugosłowiańskiej, potem greckiej, wreszcie w czasie operacji na Krecie, przeprowadzonej jedynie i tylko wojskami powietrznymi? Wiadomo wszystkim, że w czasie takich operacji samoloty syją się z nieba jak gruszką, a straty w ludziach są ogromne.

Takie pytania stawiają często ci, którzy zastanawiają się nad tymi operacjami Hitlera, które mógłby przeprowadzić wyłącznie wojskami desantowymi. Są to: po pierwsze atak na wyspę Maltę, czy po drugie—coś znacznie większego—atak na Wyspy Brytyjskie. Odpowiedzieć można: wszystkie operacje, które dotychczas Niemcy swoją piechotą powietrzną przeprowadzili, z wyłączeniem jednej Krety, nie były na naprawdę wielką skalę. W Belgii i Holandii działali Niemcy niepełną dywizją spadochronową. W niewielu bowiem wypadkach chodziło

o walkę, jak to miało miejsce przy zajmowaniu fortów Liège. Przeważała część działań z powietrza miała charakter działań dywersyjnych. Siły użyte na przesmyku Korynckim, czy na Perekopie nie przenosiły także 1 dywizji. Na Krecie zaangażowano właściwie dwie, a najwyżej trzy dywizje powietrzne.

Hitler przed atakiem na Kretę posiadał 6 dywizji wyszkolonej piechoty powietrznej i około 2000 maszyn transportowych. Ogólne straty transportowców w czasie wszystkich kampanii, łącznie z libijską nie przeniosły 1000 maszyn. Ogólne straty w ludziach nie przeniosły 2 pełnych dywizji, a więc w sprzecie 50% zaś w ludziach 33%.

Jeżeli o sprzęt chodzi: uzupełnienie sprzętu w postaci transportowców czy szybowców transportowych holowanych za samolotami motorowymi, jest niewspółmiernie łatwiejsze, niż uzupełnienie maszyn bojowych. Budowa tych maszyn jest znacznie prostsza, uzbrojenie—prawie żadne, nie mają one także całej złożonej aparatury bombowej. Zresztą do celów transportowych można przy małych przeróbkach zastosować każdy przestarzały typ bombowca, czy maszyny komunikacyjnej, bowiem kwestia szybkości nie gra zasadniczej roli. Natomiast szybowce transportowe można budować setkami, byle był materiał i robotnicy. Łada szpactarczy za fabrykę.

Jeżeli zaś chodzi o piechotę powietrzną, to liczba dywizji powietrznych Hitlera nie pomniejszała się wcale; przeciwnie—zwiększyła się wydatnie. Mówi się nawet o 11 wyszkolonych dywizjach powietrznych. Z takiego nagromadzenia rezerw

piechoty powietrznej rzeczywistość wnioskować można, że Hitler uważał dotychczasowe działania z powietrza łącznie z Kretą, za próby generalne czegoś znacznie większego. Cóż by to być mogło? W tej chwili mogą być dwa cele: albo Malta, albo—Wyspy Brytyjskie. Cypr czy Persja stały się nieaktualne, atak na Kaukaz może być aktualny dopiero późną wiosną.

Rozważając sprawę z punktu widzenia czasu, to uszeregować można cele ewentualnych powietrznych ofensyw Hitlera w następującym porządku: cel zimowy—Malta, cel wczesnowiosenny—Wyspy Brytyjskie, cel letni—Kaukaz. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie...

Poprzymy to następującym rozumowaniem: jeżeli ofensywa brytyjska nie zostanie powstrzymana przez Rommla i poczyni dalsze postępy w kierunku Trypolitanii, w wynikach swych odbić się może na stanowisku Francji, Hiszpanii, Portugalii. Wtedy Gibraltar stanie się marzeniem a Dakar może przepaść zupełnie. Wtedy rzeczka konieczna stanie się otworzenie stałej i pewnej drogi morskiej między Włochami a Trypolisem czy Tunisem, natomiast bardzo pożądana—działanie na tyły wojsk brytyjskich zaangażowanych w rejonie Syrti. Na to potrzeba nie tylko osłepić bombami, ale i zająć Maltę. To tłumaczy nam fakt koncentracji floty powietrznej i dywizji spadochroniarskich na Sycylii.

Lecz by wojnę naprawdę zakończyć od razu i zwycięsko—trzeba zająć Wyspy Brytyjskie. Gdyby moral armii niemieckiej groził załamaniem, gdyby naprawdę groziły poważne zamieszki

wewnętrzne, gdyby w rzeczywistości niemiecki plan wojenny rozpadł się w tak gwałtowny sposób, że dłuższa wojna byłaby nie do pomyslenia, Hitler stanie wobec konieczności jakiegoś takiego pociągnięcia, któreby nie tylko ratowało jego prestiż, ale i załatwiało z miejsca wojnę.

Takim jedynym wyjściem jest uderzenie na Wyspy Brytyjskie. Dlatego z tym uderzeniem należy się poważnie liczyć, a czas niebezpieczny oznaczyć z początkiem marca tego roku. Ponieważ, rozpoczynając tę operację, Hitler nie będzie miał więcej nic do stracenia, użyte do tego celu zostaną wszystkie siły powietrzne wszystkich rodzajów. Trzeba się liczyć również z wprowadzeniem nowej broni: gazów bojowych, przyczem będą do tego specjalne samoloty opryskujące teren.

Dlaczego właśnie marzec? Hitler wie, że ofensywa letnia na Rosję doprowadzi naród niemiecki do ostatecznego osłabienia, nawet gdyby się trzymał względnie dobrze. Ofensywa 1942 musi zjeść lotnictwo w podobnej mierze, jak je zjadła ofensywa 1941. Przeciaganie terminu ataku na Wielką Brytanię na maj, czerwiec, musi dać w efekcie ofensywę rosyjską. Tym bardziej, że w akcji zachodniej trzeba będzie zaangażować choć nie wszystkie siły, to całe lotnictwo. Na wschodzie można zostawić niewiele. Uderzenie na Wielką Brytanię zaryzykować można w 1941 tylko wczesną wiosną.

Należy zawsze mieć na oku tę oczywistą prawdę, że gangster dlatego zabija policjanta, iż nie ma innego wyjścia. Wszystkie wielkie cele wojenne, plany operacyjne, rozsądne rozwiązania, logiczne obliczenia biorą w łeb, gdy się nie ma czasu na ich wykonanie. W takiej sytuacji może znaleźć się Hitler i w tej sytuacji będzie chciał zabić policjanta—Wielką Brytanię.

Można sobie wyobrazić, że podobnie jak ongiś Foch miał nad swym biurkiem w czasie Wielkiej Wojny tabelę zmniejszających się rezerw niemieckich, tak Hitler ma tabelę zwiększającej się produkcji lotniczej państw sprzymierzonych. Są to cyfry bardzo wymowne. Na to i zwycięstwa Japończyków nie wiele pomaga.

ADAM STERBAŁA

Nowości lotnicze

Ukazało się wydawnictwo: FREDERICK CHOPIN SEVENTEEN POLISH SONGS

in their original keys with English and Polish words.
Preface and English version by JAN ŚLIWIŃSKI.

Cena: 5 szylingów.

Paterson's Publications, Ltd, London: 36-40, Wigmore Street, W.1—Edinburgh: 27, George Street.

Bez black-outu

Byłem niedawno w Londynie. Do tej pory nie mogę ochłonąć. Żyjąc na dalekiej prowincji szkockiej nie zdawałem sobie sprawy, że my to taka potęga. Owszem szanują nas w Szkocji, lubią więcej lub mniej, dostajemy co raz to lepszy sprzęt, mamy wiele pochwał od brytyjskich władz wojсковych za doskonałe wyniki ćwiczeń, nasze pancerniki mają uznanie, nasi saperzy są stawiani za wzór, nasza "przeciwlotnicza" bije tujejsze rekordy, jak chce, nie mówiąc już o sławie lotniczej i marynarskiej—nie jest tak źle, ale nie wiedziałem, że jest aż... tak dobrze.

Nie przypuszczałem, że Polacy potrafią zmienić zamgloną, dostojną stolicę Anglii w miasto nerwów, zgłoda nie-angielskich. Potęga, szkoda gadać. Resztki Anglików tułają się chylkiem pod murami Albionu, a my, tylko my nadajemy ton: organizujemy, dyskutujemy, przepychamy się... Kto chce z nami żyć, czy ewentualnie pracować, musi się nauczyć po polsku, bo nasza angielszczyzna po dwuletnim blisko, przymusowym "kursie" przypomina, niestety, jeszcze ciągle wymowę Indianina ze szczepu "Twardy Język".

Nie dziwnego, że w tych warunkach pocziwie, niebieskie angielskie windziurki, nauczyły się w Strattonie stylowego powitania dokumentacyjnego: "Jak się masz malutki?" W Regent Hotelu z trudem rozmówisz się po angielsku, bo Londyńczyk wolał swoją kłopską polszczyznę od naszej najlepszej angielszczyzny. Więc portier mówi: "nieodobra pogoda," a szatni: "nieodobra numerka." W kawiarni Yarnera Polacy wyparli Anglików z dużymi stratami i siedzą, jak w dawnej Ziemińskiej, zadymieni, zacietrzewieni, odstawiając "półczarne" plotki przy kawie. Tłum pracowników londyńskich: kasjerki, konduktorki, kelnerów tamie sobie język ojczyści, kalecząc równocześnie nasz—po prostu dla chleba. Dla chleba, panie, dla chleba, bo zjechali wpływowi Aljanci i przerobił Londyn na swoje kopyto. Więc, kto pójdzie z prądem będzie żył, kto nie, ten przepadnie.

Biedne Angliki rozglądają się

podobno po wyspie za nową stolicą. Może dla siebie... może dla nas. Silny element jesteśmy i... głośny, bardzo głośny. W "undergroundzie," w autobusie, w restauracjach, w prasie, w broszurkach głośni—za głośni! Nasz ton, nasz rozmach sarmacki epoki saskiej razi na tej anglo-saskiej ksepie. Nie dziwnego, że jaki taki Albinos błędnie zaciskając zęby, bo albo tego "fasonu" do tej pory nie widział, albo widział, ale znieść nie może.

"Polak ciągle się śpieszy i Polak ciągle się spóźnia"—oto lapidarna charakterystyka wygłoszona przez moją londyńską gospodynię pensjonatową, która traciła głowę na sam widok Polaków /nie w znaczeniu miłosnym/. Przeprowadziłem dokładną obserwację tej skądinąd energicznej niewiasty. Na widok polskich gości osoba ta wycofała ze swego uśmiechu maziem uprzejmości, ale równocześnie opierała się silnie o biurko, poczem z godnym podziwu spokojem odpowiadała na każde pytanie aż do szczegółowego wywiadu na temat: "myszy, robaczek i innych insektów, przewidywanych przez ostrożnego rodaka. Tylko przy wzmiance o myszach była lekko zaróżowiona, przy dalszych bliada, ale odpowiadała. Wieczorem, gdy zmęczona po całodniowej pracy siedziała w kantorze, powiedziała do mnie złamanym głosem:

"Bardzo lubię Polaków. Dzielnym, miłym naród. Choć tyle mam z nimi kłopotu. Nie potrafię odmówić wynajęcia pokoju. Ale też od tego momentu zaczyna się stała moja tragedia: Polak wraca późno do domu i tak długo, tak głośno się myje, tak operuje kranami umywalni, że budzi wszystkich gości mego pensjonatu. Czasem przyjdzie mi ochota na śpiewanie lub gwizdanie. To jest "lovely"—tylko nie o drugiej po północy. Polak rzadko kiedy schodzi punktualnie na śniadanie. W moim pensjonacie toczą się teraz nieprzerwane ranne walki z pańskimi rodakami o "break-

fast." Nawet w okresie "blitzów" pora śniadania u nas była niezmiennie od 8—9.15. Dopiero Polacy dokonali przewrotu. Jeden schodzi o 10, drugi o 10.30, trzeci się czasem gość w pyjamie i szlafroku, co pewną starszą lady przyprowadziło o palpitację serca. Wyłożyłam specjalną kartę z prośbą o wpisywanie, kto reflektuje na "lunch" w moim pensjonacie w danym dniu. Nie było u mnie od 25 lat wypadku, żeby ktoś zapisał, że będzie, nie przyszedł na obiad. Teraz jest sytuacja odwrotna: nie było wypadku, żeby ktoś z polskich gości przyszedł, zapisał, że będzie, lub żeby przynajmniej zapowiedział telefonicznie, że być nie może."

Śluchałem pilnie i reagowałem tak, jak ona przy wywiadzie na temat insektów, to znaczy byłem różowy, a potem zbladłem. W rezultacie nie potrzebuję Was zapewnić, Drody Czytelnicy, że z góry odwołałem wszystkie breakfasty i "lunchy" na przeciąg trzech dni, na wszelki wypadek, żeby nie zaspać lub... nie zapomnieć. Nocą wracałem cicho jak mysz, której nie było.

Nie wiem, czy sprawie polskiej pomogłem, czy opinii na odcinku tego pensjonatu trochę podreperowałem, ale na wszelki wypadek przez 3 dni się nie myłem, żeby zmniejszyć polski hałas w spokojnym angielskim domu. Tuż potem się więc po Londynie cały dzień i bawiłem się w "cenzurowane": po prostu "zbierałem zle i dobre śmiecie." Jedna osoba, napotkana przypadkowo "somewhere in London" powiedziała mi:

"Panie B. Pan ułożył kilka dni temu zgłoszenie do Związku Polaków z Niższym Niedokształceniem...?"

"Owszem wniosłem. Bardzo się cieszę, że taka instytucja powstała. To bardzo pożyteczne. Uważam, że my..."

* Wypadek autentyczny. Jedynie nazwy instytucji i nazwiska są fikcyjne.

"Mądrze pan zrobił..."—przerwała mi osoba—"bo trzeba panu wiedzieć że zaczynamy... walkę!"

"Walkę? Z Niemcami oczywiście? Aha, rozumiem. O kulturę polską, o naukę. Czy tak?"

"Ale skąd. Rozpoczynamy walkę z "Kolem"..."

"Jak to? Z jakim Kolem?"

"Z Kolem Polaków z Niższym Niedokształceniem."

"Więc... oprócz "Związku" jest także "Kolo"?"

"Pan nie wiedział?"

"Myślałem, że Związek i Kolo to jedno..."

"Ale skąd, panie, tam są ludzie... rozumie pan... Wystarczy, jeśli powiem panu jedno nazwisko: "Kolo"—to doktor Pyskaczyk!"

"Doktor Pyskaczyk? Nie znam, człowieku, nie znam!"—Zaczęłem się poważnie denerwować, czułem, że po prostu przez normalne zgłoszenie, na skutek wezwania ogłoszonego w prasie, wpadłem w jakiś kabałę. Ot po prostu gupi "prajwet" ze Szkocji, nieobeznany z manierami londyńskimi! Byłem zły na siebie, lecz zaciękawie nie zwyciężyło.

"Pan nie zna Pyskacza? Niech się Pan nawet nie przyznaje"—ciągnęła osoba związkowa z niższym niedokształceniem.

"Trudno, zabij mnie Pan, nie znam. A kto prowadzi Związek?"

"Jako kto? Skąd Pan spadł?"

"Z Perth..."

"To widać. Na czele "Związku" stoi nasz człowiek... Prezes Motalski!"

"Motalski? Nie znam."

"Pozna Pana. Już Pana wciągnęliśmy na listę. Dostanie Pan legitymację. Zaczniemy walkę z Pyskaczka skończymy w trzech dniach..."

"Przepraszam Pana... i "Kolo" też skończymy?"

"Samo przez się: Kolo upadnie z Pyskaczkiem!"

"Aha... i w tym celu... powstał "Związek"?"

"Tak jest. Element walki jest konieczny. Związek zdusi Kolo—zdemaskujemy ich robotę. Prezes Motalski szykuje broszurę w formie listu otwartego i zamkniętego do Pyskaczka, chcemy, żeby Pan pomógł przy redagowaniu..."

Nogi się pode mną ugęły. W głowie mi zakręcało. Na wszelki wypadek ogłondłem się za siebie... Czudem 14 dni ścisłego, potem zobaczyłem siebie na jakiejś odludnej wysepce, grającego w domino z leśnym dziadkiem, potem znowu jakiejś kraty... może to była Szkocja, a może to była "paka."

Gdy się ocknąłem osoby już nie było. W ręce trzymałem wetknięty bilet wizytowy:

"Dr. Kalumnia-Zadziorkiewicz Esq, sekretarz Generalny Związku Polaków z niższym niedokształceniem—London, W.C.1. Telefon: P.I.C. 100-00."

Zawinowało mi w oczach, w głowie miałem szum... Związek? Walka? Motalski? P.I.C.? Pyskaczyk? W.C.? Kolo?

Tak jest: Zaczarowane Kolo...

WIKTOR BUDZYŃSKI

P.S. Niniejszym kwituje wszystkie listy i dziękuję za wyrazy "współczucia", nadesłane pod moim adresem w związku z anonimem Barbary L. Nie mogę się powstrzymać od zacytowania fragmentów dwóch listów:

St.S. z Londynu: "Od siebie i z upoważnienia brata mego lotnika, walczącego o wolność i prawność Ojczyzny proszę pana, by nie przesłał się Pan do Gestapo. Niszczanie naszych wad, po powrocie do kraju, będzie grubo spóźnione. Bo to najgłębiej, żeby taka pani zabrała się do czerwonania skarpet żołnierzem, którzy walczą między innymi i o to, by taka pani zrozumiała, iż naprawdę trzeba się tu, na obcym terenie, póki czas."

J.T. ze Szkocji /żołnierz/: "Istotnie nie byłes za granicą i nie wiedziałes, że jest wolność myśli, słowa i pióra i dlatego chodzisz z otwartymi ustami i dzwisz się. Ale głowa do góry, bij dalej mocno i nie przejmuj się. Zresztą znasz to powiedzonko: "głos słyhać a osoby nie widać"—Pisz dalej. Jesteśmy z tobą na sto pięćdziesiąt procent."

Sejsmog nieregularności wartości ludzkie wykres nazwie. tych trud powszednim, prz ludzi oc niem, szu Żołnierza.

Dobrze ków gra naszych pioną, z z zaciśni postanowi brzmiały. Dobrze z szukam i. Odnajdując razem in I jakże p niesmiała. mnicę zna mogłam d matka jes nad łózk i gorącz i ręce.

Często, uczucie, że kobietom dziecięcym z pietyzm wypowiem i spojrze.

Ta mała korytarzu minąła ra Siostra, s przed sobi noszach. harmonii uśmiechni. Dokąd id Nie. Do ciężką, dr Zaraz zam Zaraz we białego, ci gdzie sterylizowa świata poz Oczy uważ

Sz

Baza opera

Duża pr ta śniegier jakaś troc chony cia wzrok, szu punktu op Ale trudno ginie we m Hurricane, sylwetka, a dalej...

Lotów w prawda ra w powietr sie musiały można lata mia zupełn

Stoimy wództwa s nością pa śniegu. W białosć tej Z pamięci r dzianych ok taki, na jak li. Obraz z i pamiętam giem pokry

Wspomni w chwili, ł podaje kon prawo patr

Szeregi i w beznurci pluton szu broń. Z g czet wypro skich Sił P cisza.

Przez ty się do tegi zawsze gra Wojska Pol szabel ulań szwadronów rodowego, wzniesione. tętnie brzm

Tu tego w sza i skupie ny w symbi ny w dalekie taki sam śni przepojone.

Maszerują poczet podcł w szeregu. muje sztand

Z życia obozów

Codzienna twarz Nieznanego Żołnierza

Sejsmografy dziejów drgają nieregularnie, notując krzywą wartości narodów i poszczególnych ludzi. Historia odczyta kiedyś te wykresy, posegreguje, odróżni, nazwie. Moje zadanie nie sięga tych trudnych spraw. Na moim powszednim posterunku szpitalnym, przez który przepływa tylu ludzi odpancerzonych cierpieniem, szukam twarzy Nieznanego Żołnierza.

Dobrze znamy tę twarz z pomników granitowych i własnych naszych wyobrażeń. Twarz skupioną, z oczami twardo hardymi, z zaciśniętymi w bladą linię postanowien ustami, z czołem nabrzmiałym od wysiłku ponad siły. Dobrze znamy tę twarz, ale ja szukam innej, tej "na co dzień." Odnajduję ją czasem, za każdym razem inną, bliższą, łatwiejszą. I jakże prostą w swej ofercie, jak nieśmiałą. Twarz, której tajemnicę znała tylko matka, i którą mogłam dojrzeć tylko dlatego, że matka jest daleko, a ja pochylona nad łóżkiem szpitalnym mam w gorące widzenie te same oczy i ręce.

Często, bardzo często mam uczucie, że kradnę jakimś dalekim kobietom te chwile skarg i łez dziecińczych. Przechowuję je z pietysmem, i może kiedyś je wypowiem i zwrócę Im te słowa i spojrzenia.

Ta mała gromadka ludzi na korytarzu szpitalnym, przypomina raczej groteskę lub film. Siostra, sanitariusz, popychający przed sobą nosze na wózek i na noszach... chory grający na harmonii "Ramone," wszyscy uśmiechnięci, rozbawieni prawie. Dokąd idą? do parku na spacer? Nie. Do sali operacyjnej. Na ciężką, drugą z rzędu operację. Zaraz zamkną się za nimi drzwi. Zaraz wejdą do innego świata, białego, cichego, obco pachnącego, gdzie sery i twarze okryją sterylizowane maski i z dawnego świata pozostaną tylko oczy i ręce. Oczy uważne, skupione i ręce nie-

zawodne, wyczułone jak macki.

Chory zna dobrze ten biały świat bólu i jedzie tam z piosenką.

Długo czekałam na koniec zabiegu. Wreszcie doktor wyszedł. "Cóż, ciężko było, ropa, zniszczone tkanki miękkie i kostne na dużej przestrzeni. Trzeba było wyjąć kość stawu skokowego."

Pokazuje mi kostkę wielkości pudełka od zapalek. Idziemy na salę, pewnie się jeszcze nie zbudził z narkozy. Zdaleka zobaczyłam zamknięte oczy. Nagle, szybki zwrot głowy i ramiona zamachały w naszą stronę.

"Leż spokojnie, człowieku, nie wolno ci się ruszać."

Zbliżyłam się szybko. Puls, wszystko dobrze, boli, bo musi, bo ma prawo boleć.

"Panie Doktorze... czy będę chodził?... czy napewno będę chodził?..." I oczy, oczy niby spokojne, a z tak ogromnym łękiem przyczajonym na dnie, że niespodziane wzruszenie chwytła mnie za gardło.

"Bo ja przecież muszę wrócić, Panie Doktorze..."

W czas jakiś powiedział do mnie. "Będę miał krótszą nogę o 2 cm... Ale za to druga będzie dłuższa"—uśmiechnął się.

Podporucznik P. lotnik-pilot opowiada na sali ciężko chorych wrażenia z lotów. Jest mocno poharatany i nie mniej zakłopotany.

"Czy strzelają do nas? naturalnie. To nawet bardzo ładnie wygląda, jak taka różnokolorowa ściana ognia odrywa się od ziemi i pędzi do góry..."

Prosimy, żeby opowiedział o którymś ze swoich lotów.

"Któregoś dnia lecimy na zadanie. Jesteśmy nad stanowiskami nieprzyjacielskiej artylerii, już powinni strzelać... czekamy w napięciu... nie... Nagle, bez mego udziału, samolot zaczyna nabierać wysokości... Jest w tym samodzielnym ruchu coś niesamowitego... Następny ułamek sekundy daje odpowiedź

i odprężenie... To pocisk rozzerwał się pod nami. Zaczynamy spadać... stery nie działają... lecimy w dół około trzech tysięcy stóp... znowu próbuję stery... nie działają... powinienem rozładować samolot z bomb... ale czekam jeszcze... Po chwili czy po wiekach—stery chwytają. Robię skręt na kurs bojowy i w tej chwili... tuż nad głową seria C.K.M. Myśliwiec... czatował bestia... mało brakowało... trochę tego szczęścia było..."

Tak, "trochę tego szczęścia" było... "Dwadzieścia parę lotów nad Niemcami, "Virtuti Militari," "Krzyż Walecznych," awans z podoficera na podporucznika, poparzona i połamana ręka i noga, twarz w bliznach i szwach..."

A dziś... mundur razem z "Krzyżem" złożony starym w szafie szpitalnej, szlafrok, kule, bijące wzruszeniem serca chorych kolegów, tęsknota za skrzydłami, daj Boże niedługo, i... trochę tego szczęścia na przyszłe loty.

Chorzy dużo czytają i chętnie dyskutują o książkach i artykułach. Któregoś wieczoru ktoś wspominał "Śmierć podch. Płuskińskiego." Zaczęło fachowo rozpatrywać sytuację bojową, możliwości i t.d. Padło słowo "bohaterstwo..."

"Obciąż" mnie podhalanin, chłopak smutny i rozgoryczony z powodu narwicznej rany, która pozostawiła go kaleką. —"Proszę pani, to są bzdury o bohaterstwo i ofiarność"—powiedział szorstko. —"Chłopak wyłazi na tę skałkę, bo stamtąd było mu wygodnie strzelać. Każdy zrobiłby to samo na jego miejscu. To nie żadne bohaterstwo ani łaska. To był jego psi obowiązek. Jedyną jego zasługą to, że tę skałkę wypatrzył i wykoryzystał."

Oto punkt widzenia. Psi obowiązek i kłwita...

Pewnej nocy wstrząsnęły mną ludzkie oczy.

Wieczorem objęłam dyżur nocny. Siostra dzienna między innymi wskazaniami lekarza, które należy wykonać w ciągu nocy poleciła mi nowego pacjenta:

"Ranny od bomby niemieckiej, wstrząs mózgu, ma leżeć nieruchomo, podawać pić bez podnoszenia chorego, kontrolować puls, zmieniać łód w woreczku na głowie jak najczęściej."

Takie słowa są święte. Zmieniałam więc łód, starając się robić to jak najdelikatniej, ale chory budził się za każdym razem i patrzył na mnie tak bezbrzeżnie zdumionymi oczami, że czasem zdawało mi się, że jest nieprzytomny.

Całą noc myślałam o tych jego oczach szeroko otwartych i tak niebieskich, jak tylko u nas w łówiek miewają łnianowłose, wiejskie dzieci.

Całą noc myślałam, jak bardzo daleko musiał odbiec od domu i od opieki matczynej, że kobiece ręce, troszczące się o jego biedną, potłuczoną głowę wywołały tak ogromne zdumienie...

Na sali N.50 leży młody, miły chłopak. Moje zainteresowanie nim datuje się od chwili, gdy go przywieziono. Wsiadł z "sanitarki," rozejrzął się i splunął najautentyczniej po warszawsku.

W Izbie Przyjęć chorych służbowy notuje jego personalia. "Imię" ... "nazwisko" ... "stopień" ... "przydział" ... "miejsce zamieszkania w Polsce?"

"Warszawa." "Bliższy adres?" "Tamka." "Jaki numer?" "No to niech będzie Solec." "Ale jaki numer?"

"Pisz pan Czerniakowska 56.

Ale tego domu już nie ma. Jak piźnęło, to ledwieśmy się wygrzebałi. Aleśmy też dobrze grzali do nich."

Na sali opatrunkowej między nim i doktorem nawiązał się następujący dialog.

"Trzeba natychmiast operować pod narkozą."

"Tylko żadne takie, panie doktorze, bez żadnej narkozy, nie lubię smrodu."

"Ale będzie bolało, nie wytrzymasz."

"Wytrzymam."

"Słowo?"

"Warszawskie słowo honoru." Raz tylko zgrzytnął zębami przy zakładaniu sączków w głab rany, ale ani drgnął. Wytrzymał, bo warszawskie.

"Rozkleilem się jak dziecko"

—powiedział do mnie kapral Tadeusz J. po ósmej, od chwili otrzymania postrzału pod Ankenes, operacji. Dygotał cały z bólu i zaciągał się papierosem, a lzy leciały mu po twarzy i wsiąkały w poduszki.

Przebiegłam myślą ostatnie dwa lata jego 26-letniego życia. Kampania wrześniowa, Węgry, Francja, Narwik, kota 275, ciężki postrzał... Do leżącego już, z odległości 15 metrów, strzela Niemiec raz jeszcze...

"Powinien był trafić"—powiedział kiedyś Tadeusz.

Po paru godzinach odnaleźli go koleczy, lecz dnia tego miał wyraźnego "pecha". W drodze do szpitala ostrzelał ich samolot niemiecki.

Pierwszą operację przeżył w Tarstadt. Drugą—po 3 dniach—w Harstadt. Dwie następne na statku, w drodze do Liverpool, i trzy w Manchester. W kwietniu był operowany u nas po raz ósmy.

Kula dum-dum... zostawia trwałe ślady... Wczoraj po 6-miesięcznej kuracji powrócił do szpitala raz jeszcze na... dziesięć operację...

Wieczorem usiadłam przy jego łóżku na małą pogawędkę. Tadeusz odłożył książkę i uśmiechnął się do mnie serdecznie i ciepło.

"Skąd bierzesz tę pogodę Tadeusz?"—pomyślałam...

JANINA WOYCIECHOWSKA

Sztandar lotników

Baza operacyjna Polskiego Skrzydła

Duża przestrzeń lotniska pokryta śniegiem. W powietrzu szara, jakaś trochę brudna mgła. Zmęczony ciasnotą miejskich ulic wzrok, szuka przed sobą jakiegoś punktu oparcia lub zaczepienia. Ale trudno go znaleźć, bo horyzont ginie we mgle. Nieopodal nas stoi Hurricane, następny to już tylko sylwetka, jakaś ciemna plama, a dalej... nic.

Lotów właściwie nie ma. Co prawda rano poszły dwie maszyny w powietrze, ale po niedługim czasie musiały z trudem lądować. Nie można latać. Na ziemi i nad ziemią zupełny spokój.

Stoimy przed gmachem dowództwa Skrzydła i z przyjemnością patrzymy na takie ilości śniegu. Wzrok nasz chciwie spija białosć tej wielkiej przestrzeni. Z pamięci minionych zdarzeń i widzianych obrazów powraca właśnie taki, na jaki patrzymy w tej chwili. Obraz zimy takiej, jaką znamy i pamiętamy z Polski. Pola śniegiem pokryte...

Wspomnienia te przychodzą w chwili, gdy dowódca Skrzydła podaje komendę: "baczność—na prawo patrz!"

Szereg dywizjonów zamierają w bezruchu, oficerowie salutują, pluton sztandarowy prezentuje broń. Z gmachu dowództwa poczet wyprowadza sztandar Polskich Sił Powietrznych. Zupełna cisza.

Przez tyle lat przyzwyczaiłem się do tego, że w takiej chwili zawsze grają trębacz: "Hasło Wojska Polskiego," potem błysk szabel ułanów przed szeregi szwadronów, melodia Hymnu Narodowego, a w końcu—fanfary wzniesione ku górze i silnie i potężnie brzmiący marsz pułkowy.

Tu tego wszystkiego nie ma. Cisza i skupienie... Wzrok utkwił w symbol żołnierski, wykonany w dalekiej Polsce, gdzie dzisiaj taki sam śnieg okrywa pola krwią przejozów.

Maszerując miarowo i spokojnie poczet podchodzi do czoła i staje w szeregu. Dywizjon 303 przejozuje sztandar.

Przywieziono go tu z dywizjonu bombowego. Był tam świadkiem dalekich dniennych i nocnych wypraw bombowych, słuchał huku potężnych motorów i cichych, niezręcznym wymawianych życzeń przy odlocie. A nad ranem, liczył powracające maszyny. Żył z dywizjonem.

Teraz, Hurricane i Spitfire będą mu grały melodie zwycięstwa. Będzie oglądał biecące w pośpiechu do maszyn sylwetki pilotów. Szybkie starty i znikające punkty na horyzoncie. Klucz... dywizjon... skrzydło... A potem znowu tak jak tam. Oczekiwanie na powrót. Całe życie tutaj to szybkość i walka. Decydują ułamki sekund i metrów. Nerwy napięte jak struny i błyskawiczne reakcje oka i ręki. Ani jedno ani drugie nie może zawieść. W tych codziennych walkach, siła i moc płynąca ze sztandaru, będzie ich siła i moc. A dalsza sława, którą się okryja, oprómienni jeszcze bardziej ten sztandar.

Patrząc po szeregach dywizjonów. Od czasu gdy byłem tu kilka tygodni temu, widać zmiany.

Brak wielu, którzy wtedy byli obecni. Niektórzy już nie powrócą—może nigdy. Za swoją sławę płacą uczciwą cenę.

Ale to nie o sławę tu chodzi. W dniu dzisiejszym Dywizjon przejął pod swoją opiekę sztandar z Polski, i tak samo jak poprzednie dywizjony, tak i oni czują to i wiedzą, że ten sztandar musi powrócić do Polski. Obowiązkiem każdego z nich jest, temu sztandarowi zwycięską drogę do Kraju ugotować. A droga ta jest tylko jedna, wypisana rekoma Polek na ich sztandarze: "MIŁOŚĆ ŻĄDA OFIARY." Droga ofiarnych walk i uczciwej służby żołnierskiej. Tą drogą oni idą każdego dnia.

W Kraju miliony żyją w cierpieniu. Tysiące serc bije codziennie z trwogi o życie swych ojców, synów i braci. Ale nigdy nie było i nie ma wahania. Ściśnięcie bólem serca żądają dalszych ofiar. Żądanie to wypisały na tym sztandarze. Bo droga do zwycięstwa prowadzi przez pola krwi przepojone.

KAMIL BOGUMIŁ CZARNECKI



fol. Jan Olgierd Bożenka

Z życia saperów; po pracy lubimy posłuchać muzyki

Może dzisiaj?

coś tam majstruje... Sprawdza nastawy wiatru, poprawki wtórne, poziomowanie.

"O-K" myśli W. i melduje:

"Przelicznik gotów"

Za tym meldunkiem idą następne:

"Dalmierz... 1-wsze, 2-gie itd. działo gotowe."

G.P.O. (oficer ogniowy) podnosi rękę do góry na znak, że słyszy, że wie.

"Jakoś dziś wszystko tak dobrze idzie, napewno nie nie wejdzie w zasięg"—myślę, przypominając sobie poligon, pierwsze nasze p-lotnicze strzały na ziemi Brytyjskiej.

Zawsze tak było. Jak tylko przelicznik był za grzeczny, to już coś się nie powiodło. A my wiemy o tym, jaki "on" jest kapryśny, czasami jest nawet złośliwy. Trzeba go dopiero przekonać, trzeba mu włożyć w głowę, rękami jego kilkunastu pokręteł, słusność naszej sprawy...

Wtedy dopiero zaczyna rozumieć. Jeszcze się trochę złości... Jeszcze trochę zgrzytnie z niezadowolaniem swoimi magnetycznymi hamulcami, warknie swoimi motorkami i pracuje już grzecznie.

Tak właśnie było podczas pierwszego rekawa. Już myślałem, że strzelanie pójdzie "Bozi w okno", a tymczasem rekaw poszedł w morze. Wtedy zrozumiałem, że ten martwy, skomplikowany przedmiot ma swoją duszę. No, a potem to już umiałem z nim "gadać".

Albo z "Queen-Bee" z samolotem—celem, prowadzonym drogą radiową. Wtedy przelicznik zaciął się razem z nami. Kazał układać się mlecznym obłokom rozprysków tuż za nim lub przed nim...

Rezultat poligonu był: trzy rekawy i uszkodzony "Queen-Bee." Pamiętam po poligonie uśmiech na twarzy dowódcy Dyonu, majora E.

Ale co będzie dziś? Czy przyleca, czy poczuja na swoich kadłubach, płatach i silnikach odłamki granatów naszej... polskiej artylerii p-lotniczej?

TADEUSZ OSTOJA

